

Nr. 742—743.

BIBLIOTEKA POWSZECHNA

Henryk Ibsen.



Jan Gabryel Borkman

sztuka w czterech aktach.

Przełożył

Jan Śliwon.



Każdy tomik można osobno nabyć

Nakładem i drukiem księgarni
WILHELMA ZUKERKANDLA

W ZŁOCZOWIE.

NA SKŁADZIE
w każdej księgarni.



Założona w roku 1874 firma Księgarska

W. ZUKERKANDEL W ZŁOCZOWIE

wydaje od roku 1891 najtańsze w Polsce

== wydawnictwo pod nazwą ==

„BIBLIOTEKA POWSZECHNA“

Biblioteka Powszechna wychodzi tomikami, z których każdy stanowi dla siebie odrębną całość, wyjątkowo obszerniejsze dzieła składają się z dwóch lub kilku tomików. Każdy tomik nabywać można w Księgarniach broszurowany, lub oprawiony.

Na treść tomików Biblioteki Powszechnej składa się wszystko co umysł ludzki zająć potrafi. Więc zawiera ona: dzieła poetyczne, opowieści, nowele, humoreski, dzieła sceniczne (tragedje, dramaty, komedje) tak polskich, jak i obcych pisarzy. Zawiera Biblioteka Powszechna dzieła ze wszystkich dziedzin wiedzy i nauki, jak z historii, historii literatury i t. p., z nauk przyrodniczych i t. d. Zawiera podręczniki do nauki języków, — z zakresu rozmaitych sportów, zabaw i gier, uwzględnia wszystkie potrzeby życia praktycznego.

CIĄG DALSZY NA str. 3. OKŁADKI.

HENRYK IBSEN.



JAN GABRYEL BORKMAN

SZTUKA W CZTERECH AKTACH.

PRZEŁOŻYŁ

JAN ŚLIWOŃ.



LWÓW — ZŁOCZÓW.

Nakładem i drukiem księgarni Wilhelma Zukerkandla.



105858

OSOBY.

JAN GABRYEL BORKMAN, były dyrektor banku.
GUNHILDA, jego żona.
ERHARD, słuchacz uniwersytetu, ich syn.
ELLA RENTHEIM, siostra pani Borkman.
FRANCISZKA WILTON.
WILHELM FOLDAL, pisarz oddziału rachunkowego.
FRYDA, jego córka.
SŁUŻĄCA pani Borkman.

Rzecz dzieje się w dobrach rodzinnych Rentheimów,
w pobliżu stolicy. — Wieczór zimowy.

AKT I.

Pokój pani Borkman. Urządzenie nosi ślady minionej świetności. Oszklone drzwi wiodą na taras ogrodowy. Przez drzwi widny ogród, gdzie wśród zmierzchu padają płatki śniegu. W ścianie na prawo drzwi wchodowe z przedpokoju. Przy tejże ścianie, bliżej sceny, stary, żelazny piec, w którym pali się ogień. W ścianie lewej, nieco w głębi, małe drzwi. Bliżej sceny okno osłonięte gęstą firanką. Między oknem a drzwiami kanapa; przed nią stół, nakryty dywanem. Na stole płonie lampa, zaopatrzona w ciemnik. Obok pieca fotel o wysokim oparciu.

Pani Borkman siedzi na kanapie, zajęta robotą szydełkową. Jest starszą kobietą o chłodnych, lecz wytwornych ruchach. Postać ma sztywną, rysy ostre, regularne. Nosi ciemną, ciężką suknię jedwabną o wykwinnym kroju, lecz nieco już zniszczoną. Na plecach ma wełniany szal.

Siedzi chwilę wyprostowana i bez ruchu z robotą w rękę. Na dworze rozlega się odgłos dzwonekóv przejeżdżających sani.

Pani Borkman nadśłuchuje; w oczach jej promienieje radość, a z ust dobywa się mimowolny szept. Erhard! Nareszcie! Wstaje i wygląda oknem. Rozczarowana siada znowu na kanapie i bierze robotę.

Po chwili wchodzi z przedpokoju służąca z biletem wizytowym na tacy.

Pani Borkman. Jest wreszcie panicz?

Służąca. Nie, proszę pani. Ale jakaś pani czeka na dworze...

Pani Borkman odkłada robotkę. Zapewne pani Wilton...

Służąca zbliżając się. Nie, to jakaś obca dama.

Pani Borkman odbierając bilet. Pozwól... Czyta. Poczem porywa się i patrzy zdziwiona. Jesteś pewna, że to dla mnie?

K-109/80/117229

Służąca. Tak jest. Tak mi powiedziano...

Pani Borkman. Mówiła ta dama o pani Borkman?

Służąca. Oczywiście. Pytała o panią.

Pani Borkman krótko. Proś ją.

Służąca otwiera przybytek drzwi i odechodzi. — Ella Rentheim wchodzi do pokoju. Podobna jest do siostry, lecz w rysach wyryte ma wielkie cierpienie. Twarz jej nosi ślady wielkiej, niezwyklej piękności — minionej. Włos bujny, srebrno-biały, niezesany nad czołem. Ubrana jest w czarną aksamitną suknię i w takiż futrem podszywany płaszcz. Obie siostry stoją chwilę w milczeniu, wpatrując się w siebie. Czekają, która pierwsza przemówi.

Ella stojąc w pobliżu drzwi. Zdumiewasz się, Gunhildo.

Pani Borkman stoi nieporuszona przed stołem obok kanapy i mnie dywan na stole. Nie omyliłaś się przypadkiem? Rządca mieszka w bocznym skrzydle...

Ella. Nie przybywam do rządcy.

Pani Borkman. Więc do mnie masz jakąś sprawę?

Ella. Tak. Chcę kilka słów z tobą pomówić.

Pani Borkman robiąc parę kroków naprzód. W takim razie — siadaj.

Ella. Dziękuję. Mogę stać tych kilka chwil.

Pani Borkman. Jak uważasz... Ale płaszcz możesz zdjąć.

Ella odpina płaszcz. Ciepło tu dosyć...

Pani Borkman. Ja bezustannie marznę.

Ella stoi chwilę, wpatrując się w nią. Rękę ma opartą na fotelu. Tak... Gunhildo, ośm lat upływa od chwili, gdy widzieliśmy się ostatni raz.

Pani Borkman chłodno. Zapewne... od chwili gdy mówiłyśmy ze sobą.

Ella. Słusznie, od chwili, gdy mówiłyśmy ze sobą. — Bo widywać mię musiałaś niejednokrotnie, gdyś się co roku z konieczności zjawiała u rządcy.

Pani Borkman. Było to raz lub dwa...

Ella. Widziałam cię także parę razy tam u okna.

Pani Borkman. Zapewne za firankami. Masz dobry, przenikliwy wzrok. Głosem ostrym i twardym. Mówiłyśmy jednak ostatni raz tu, w tym pokoju...

Ella niespokojnie. Wiem, wiem o tem, Gunhildo!

Pani Borkman. ...W tydzień, zanim... zanim go wypuścili.

Ella chodząc po pokoju. Ach, zostawże to!

Pani Borkman stanowczym, choć przytłumionym głosem. To było w tydzień, zanim... zanim jego, dyrektora banku, wypuszczono na wolną stopę.

Ella j. w. Tak! tak! Tej godziny chyba nie zapomnę! Bo też to wspomnienie druzgocące. Chwilę o niem myśleć, a!...

Pani Borkman ponuro. A jednak myśli muszą wciąż koło tego krążyć! W wznagającym się podnieceniu załamuje ręce. Nie, nie mogę tego pojąć... przynigdy! Nie zrozumiem nigdy, jak podobne okropieństwo może nawiedzić rodzinę! I pomyśl tylko: naszą rodzinę! Taka wielką rodzinę. I w nią to musiał taki cios ugodzić!

Ella. Moja Gunhildo, ten cios dotknął jeszcze wiele, wiele innych rodzin.

Pani Borkman. Oczywiście, ale inni mało mię obchodzą. Ich strata ogranicza się do kilkunastu sztuk złota, do kilku papierów wartościowych. Ale my! Ja i Erhard, który wtedy jeszcze był dzieckiem niewinnym!... Coraz zapaleczywiej. Hańba, która spada na nas niewinnych! Ten wstyd, ten okropny, nieopisany wstyd! A potem ta zupełna, niepowetowana ruina!

Ella delikatnie. Powiedz mi, Gunhildo, jak ona to znosi?

Pani Borkman. Kto? Erhard?

Ella. Nie, — on sam... O niego pytałam.

Pani Borkman z krwawą ironią. Sądzisz, że pytam kiedy o to?

Ella. Pytać? Tu chyba nie potrzeba pytań.

Pani Borkman patrzy na nią ze zdumieniem. Nie przypuszczasz chyba, że się z nim wdaję? Czy schodzę lub widuję?

Ella. Czy nie?!

Pani Borkman j. w. Z nim, co pięć lat przesiedział w więzieniu, pod kluczem! Zakrywa twarz rękoma. Ach, ten bezgraniczny wstyd! Ocknęła się. I pomyśleć teraz, czem kiedyś było nazwisko Jana Gabryela Borkmana!... Nie! nie! nie spojrzę na niego już nigdy! Nigdy!

Ella patrzy na nią chwilę. Twarde masz serce, Gunhildo.

Pani Borkman. Wobec niego — tak!

Ella. To przecie twój mąż.

Pani Borkman. Nie powiedziałe przed sądem, że to ja przedewszystkiem popchnęłam go na tę drogę? Że domagałam się ciągle mnóstwa pieniędzy?...

Ella z obawą. Czy nie było w tem nic prawdy?

Pani Borkman. Bo on sam tego się domagał. Wszystko musiało być pełne bezmyślnego zbytku i okazałości...

Ella. O tem wiem. I właśnie dlatego winnaś go była poskramiać. A tego nie czyniłaś.

Pani Borkman. Skąd mogłam wiedzieć, że pieniądze, które dla niego trwoniłam, nie są jego własnością? A on sam mało rzucił pieniędzmi? Stokroć więcej, aniżeli ja!

Ella spokojnie. Bo tego wymagać mogło jego stanowisko. Zdaje mi się tak przynajmniej.

Pani Borkman drwigo. Oczywiście... To się nazywało »robić dla godności.« I tej godności szczerze służył! Przez cztery całe lata żył na stopie — prawdziwego króla. Śmieje się. A ludzie musieli przed nim bić czołem!... Bo to był król! Nazywano go po imieniu samem, niby rodzzonego króla. »Jan Gabryel«, »Jan Gabryel!« Najmniejsze dziecko nawet wiedziało, co to za mocarz, ten »Jan Gabryel!«

Ella stanowczym, lecz ciepłym głosem. Bo był też wówczas mocarzem.

Pani Borkman. Oczywiście; tak przynajmniej pozory o nim świadczyły. Ale on sam jednym słowem się

nie zwierzał nigdy, jaki jest właściwy stan jego majątku. Nigdy nie wspominał nawet, skąd pokrywa te bajeczne wprost wydatki.

Ella. Możliwe... bo też to nikogo nie mogło obchodzić.

Pani Borkman. Jego sposób postępowania wobec innych — pomijam. Ale mnie wyznać prawdę — miał obowiązek. A tego nigdy nie czynił! Tylko mię okłamywał... okłamywał bez skrupulów!

Ella przerywając jej. Nie, nie, Gunhildo! Tań to może przed tobą, ale nie kłamał nigdy! To nie!

Pani Borkman. Nazwij to, jak chcesz. Wynik jest przecie ten sam. Później nastąpiła katastrofa i wszystko rozprysło się bez śladu.

Ella wolno. Tak, nastąpiła katastrofa — dla niego — i innych.

Pani Borkman wyprostowuje się groźnie. Ale jedno ci powiem, Ello: o poddaniu się nie myślę! Zadośćuczynienie sobie zdobędę! Możesz tego być pewną.

Ella zaintrygowana. Zadośćuczynienie? Jakież to?

Pani Borkman. Zadośćuczynienie za utratę nazwiska, czci i majątku! Zadośćuczynienie za moje zwichnięte życie, za wykojenie! Mam kogoś w odwodzie — wiedz o tem — kogoś, co te wszystkie brudy zmyje. Brudy nagromadzone przez pana dyrektora banku.

Ella. Ależ Gunhildo!...

Pani Borkman z rosnącym podnieceniem. Słuchaj, żyje mściciel! On wszystkie krzywdy, które mi ziażdżył mię jego ojciec, wynagrodzi.

Ella. Erhard?!

Pani Borkman. Tak, Erhard, moja jedyna nadzieja. On mi przywróci rodzinę, odbuduje ognisko, odrodzi imię. Dokona wszystkiego, co możliwe, a może i więcej.

Ella. Jak sobie wyobrażasz tę wszechstronną — odbudowę?

Pani Borkman. Nie wiem... nie myślę o tem. Lecz wiem, że to któregoś dnia nastąpi, bo nastąpić musi. Patrzy na nią pytająco. A ty...? Czyś i ty, gdy był jeszcze wyrostkiem, nie żywiła tej samej nadziei?

Ella. Trudno mi to potwierdzić.

Pani Borkman. T-a-k? A czemuż zaopiekowałaś się nim, gdy burza zerwała się... nad nami?

Ella. Bo ty tego uczynić nie mogłaś.

Pani Borkman. Nie, nie, ja nie mogłam. A jego ojciec... miał niepokonaną przeszkodę... siedział przecie, tak troskliwie strzeżony...

Ella z urazą. Jak można w ten sposób mówić! I to ty...

Pani Borkman jadowitym głosem. I żeś się ty mogła na to zdobyć, by się zaopiekować synem takiego Jana Gabryela Borkmana, tak jakby był twoim własnym! Odebrałaś go mnie i wyjechałaś z nim, by go trzymać u siebie całemi latami, aż prawie całkiem dojrzeje. Patrzy na nią nieufnie. Dlaczego czyniłaś to właściwie? Poco trzymałaś go u siebie?

Ella. Tak go z czasem pokochałam...

Pani Borkman. Więcej, niżeli ja — rodzona matka!

Ella wymijająco. Tego nie wiem. A przytem był Erhard w czasie swego dojrzewania nieco słabowitym...

Pani Borkman. Erhard słabowitym?!

Ella. Zdawało mi się tak przynajmniej wówczas. Nadto powietrze było w tamtych stronach, na zachodzie, o wiele łagodniejsze.

Pani Borkman z gorzkim uśmiechem. Hm... powietrze łagodniejsze... zmienia watek rozmowy. Tyś doprawdy wiele uczyniła dla Erharda. No, bo masz też środki do tego. Uśmiecha się. Miałaś wyjątkowe szczęście: tobie jednej udało się wszystko ocalić. Nie straciłaś nic.

Ella urażona. Nie czyniłam w tej sprawie najmniejszych kroków, mogę cię o tem zapewnić. Przez długi jeszcze czas potem nie miałam pojęcia, że papiery, które miałam w banku, nie zostały naruszone.

Pani Borkman. Przypuśćmy... nie znam się zresztą na tem. Mówię jedynie, że miałaś szczęście. Patrzy na nią pytająco. Wychowując Erharda w mojem zastępstwie, musiałas to czynić w jakimś upatrzonym celu...

Ella wpatruje się w nią. W upatrzonym celu?

Pani Borkman. Bo cel jakiś musiał w tem tkwić. Czem chciałaś go zrobić? Jakie miałaś względem niego zamiary na przyszłość?

Ella powoli. Chciałam mu drogę utworować do szczęścia; uczynić go szczęśliwym człowiekiem.

Pani Borkman lekceważąco. E-e-e... Ludzie w naszym położeniu mają o czem innem myśleć, jak o szczęściu.

Ella. O czemże?

Pani Borkman patrzy na nią poważnie i stanowczo. Erhard musi nadewszystko w tem skupić swe siły, by stanąć u szczytu hierarchii społecznej, by na kraj rozśnić taki blask, iżby nikt nie dojrzał cienia, który na mnie rzucił jego ojciec i — na mego syna.

Ella badawczo. Powiedz mi, Gunhildo, czy i Erhard myśli na to poświęcić swoje życie?

Pani Borkman dotknięta. Spodziewam się!

Ella. Czy też ty narzuciłaś mu to zadanie?

Pani Borkman krótko. Nasze sądy w tej sprawie zgadzają się.

Ella niepewnie. Tak pewną tedy jesteś swego chłopaka?

Pani Borkman z tajonym tryumfem. Tak — Bogu chwała. Nie łudzę się.

Ella. Wobec tego — powinnaś się czuć szczęśliwą. Mimo wszystko.

Pani Borkman. Jestem nią też, pod tym względem.

I gdyby nie tamta sprawa, która mię bez przerwy nawiedza huraganem wspomnień, to...

Ella przerywając jej. Powiedz mi, bo po to właściwie do ciebie przybywam, powiedz mi jedno..

Pani Borkman. Co?

Ella. O jedno chcę cię zapytać... Erhard nie mieszka zapewne tu, u was...

Pani Borkman ostro. Erhard nie może u mnie mieszkać. Mieszka w mieście...

Ella. Pisał mi to.

Pani Borkman. Wymagają tego jego studia. Ale co wieczora wpada tu na chwilę.

Ella. Więc go zobaczę? I będę mogła z nim pomówić?

Pani Borkman. Jeszcze go niema. Ale spodziewam się go każdej chwili.

Ella. On już tu musi być. Słyszę jego kroki na górze.

Pani Borkman. To nie on.

Ella zdumiona. Nie Erhard? Z przeczuć. Któż tedy?

Pani Borkman. Dyrektor banku.

Ella cichym, bolesnym głosem. Borkman. Jan Gabryel Borkman!

Pani Borkman. Ustawicznie dochodzi tu odgłos jego kroków. Chodzi tak bez przerwy, dzień po dniu, od rana do nocy.

Ella. Słyszałam to i owo od ludzi..

Pani Borkman. Nic łatwiejszego. Ludzie zajmują się nami nawet zbyt żywo.

Ella. Erhard wspominał mi też w swych listach, że się ojciec zupełnie odosabnia na górze, a ty — na dole.

Pani Borkman. Tak było, od chwili, gdy go wypuścili, przed — ośmiu laty.

Ella. Nie przypuszczałam jednak, aby to miało być prawdą, aby mogło być prawdą.

Pani Borkman potakuje. To prawda. I zmiana jakakolwiek jest tu wykluczona.

Ella patrząc na nią. To musi być okropne życie, Gunhildo.

Pani Borkman. To mało... To wprost nie do zniesienia.

Ella. Łatwo sobie wyobrazić.

Pani Borkman. Ciągłe i bezustannie słyszeć jego kroki nad głową! Od wczesnego ranka do późnej nocy. — A ten grozą przejmujący odgłos ich na dole! brrr!

Ella. Odgłos jest istotnie silny.

Pani Borkman. Miewam czasami wrażenie, że mam nad sobą chorego wilka w klatce; wprost nad głową. Nasłuchuje i szepta. Słuchajno, słuchaj! Tam i napowrót, tam i nazad chodzi jak chory wilk.

Ella delikatnie. Czy toby się nie mogło odmienić, Gunhildo?

Pani Borkman przecząc. On najmniejszego nie uczynił kroku ku temu.

Ella. Czy nie mogłabyś ty go uczynić?

Pani Borkman porywa się. Ja! Po tem wszystkim, co na mnie zważy! — Dziękuję! Już wolę, by mi się wilk dalej tłukł po klatce.

Ella. Za gorąco mi. Pozwolisz, że zdejmę płaszcz.

Pani Borkman. Prosiłam cię o to...

Ella zdejmując płaszcz i kapelusz i kładzie na krześle obok drzwi wchodowych.

Ella. A poza domem nie spotykasz go również nigdy?

Pani Borkman śmieje się gorzko. W towarzystwie — myślisz zapewne?

Ella. Nie... Ale na przechadzce, w polu lub lesie?...

Pani Borkman. Pan dyrektor banku nie wychodzi nigdy.

Ella. Ani nawet o zmierzchu?

Pani Borkman. Nigdy.

Ella z współczuciem. Nie może się przezwyciężyć?

Pani Borkman. Prawdopodobnie... Jego obszerny płaszcz i szeroki kapelusz wiszą w szafie, w przedpokoju. Przypominasz ją sobie zapewne...

Ella zamyślona. W tej szafie, w której chowałyśmy się jeszcze jako dzieci...

Pani Borkman potakuje. Niekiedy... i to niezmiennie rzadko, słyszę, jak schodzi, by się ubrać do wyjścia. Staje jednak zazwyczaj na środku schodów i — wraca na górę. I rozpoczyna swoją odwieczną wędrówkę po pokoju.

Ella delikatnie. A odwiedza go który ze starszych przyjaciół?

Pani Borkman. On nie ma starych przyjaciół.

Ella. Miał ich przecie tyłu — dawniej.

Pani Borkman. Hm!... Umiał się z nich otrząsnąć w bardzo skuteczny sposób. Stał się dla swych przyjaciół — bardzo droгим przyjacielem, pan dyrektor banku.

Ella. Masz słuszność — niestety.

Pani Borkman zawzięcie. ...Jakkolwiek dodać muszę, że to ogromnie nisko i nieszlachetnie tak się mścić za tę trochę pieniędzy, które stracili. Bo ich strata była wyłącznie materyalna.

Ella jakby do siebie. I tak żyje sam jak pustelnik, jak skazaniec...

Pani Borkman. Oczywiście... Słyszałam tylko, że niekiedy go odwiedza jakiś stary pisarzyna...

Ella. To zapewne stary Foldal, przyjaciel jeszcze z lat młodocianych, o ile się nie mylę.

Pani Borkman. Zdaje się, że to on. Ja go zupełnie nie znam. W naszym gronie nie widywałam go.

Ella. A teraz przychodzi do Borkmana?

Pani Borkman. Tak. Bo on nie jest zbyt wybredny... Przychodzi przytem tylko o zmierzchu.

Ella. Foldal był również w rządzie tych, co przy upadku banku ponieśli straty.

Pani Borkman obojętnie. O ile sobie przypominam, stracił tam coś. To musiało jednak być zbyt nieznaczne...

Ella z lekkim naciskiem. To było jego całe mienie.

Pani Borkman uśmiecha się. Mój Boże, jego mienie było znikająco małe — nie warto wspomnienia.

Ella. Nie wspominał też o niem — w toku procesu Foldal.

Pani Borkman. Zresztą wynagrodził mu tę drobnośćkę sowiecie Erhard.

Ella. Erhard?! W jaki sposób?

Pani Borkman. Zajął się najmłodszą jego córką: uczył ją, tak że z czasem może wykuje się na coś i zdobędzie sobie niezależność. Uczynił dla niej więcej, jak jej własny ojciec mógł uczynić.

Ella. Jej ojciec — wyobrażam sobie — żyje w dość opłakanych stosunkach.

Pani Borkman. Nadto Erhard to sprawił, że uczy się muzyki. Postąpiła już tak dalece, że grywa niekiedy... jemu, tam na górze.

Ella. Więc wciąż tak kocha się w muzyce?

Pani Borkman. Tego się nie wyrzekł... Ma jeszcze ten fortepian, który mu przysłałaś... gdy miał tu osiaść...

Ella. I na nim ona mu grywa?

Pani Borkman. Tak — niekiedy wieczorem; również dzięki Erhardowi.

Ella. Więc ta biedaczka chodzi tu aż z miasta?

Pani Borkman. Nie... Erhard umieścił ją w pobliżu u niejkiej pani Wilton...

Ella żywo. U pani Wilton?!

Pani Borkman. Bardzo bogata dama. Wątpię, czy ją znasz...

Ella. Znam nazwisko. Zdaje mi się Franciszka Wilton...

Pani Borkman. Tak...

Ella. Erhard wspominał o niej często w swych listach. — Czy mieszka tu, za miastem?

Pani Borkman. Tak. Wynajęła willę w pobliżu i zamieszkała w niej od niedawna.

Ella niepewnie. Miała się z mężem rozwieść...

Pani Borkman. Jest wdową od kilku lat.

Ella. Wiem... ale rozwiedli się... z jego woli.

Pani Borkman. Porzucił ją. Wina z pewnością nie leżała po jej stronie.

Ella. Znasz ją bliżej!

Pani Borkman. Znam ją... Mieszka bardzo blisko i czasami mię odwiedza.

Ella. Podobała ci się?

Pani Borkman. Jest niezmiernie rozsądną. Każdy jej sąd jest przejrzysty jak kryształ.

Ella. Jej sądy o ludziach — zapewne?

Pani Borkman. Przeważnie... Erharda naprzykład przeniknęła do głębi, dotarła do najmniejszej jego komórki. Nic dziwnego tedy — że go ubóstwia.

Ella badawczo. Żyje więc z nim zapewne w zażyłych stosunkach jak z tobą?

Pani Borkman. Oczywiście... Widywali się bardzo często jeszcze w mieście, zanim ona się tu przeniosła.

Ella nieopatrznie. I mimo to opuściła miasto?

Pani Borkman drgnęła i patrzy na nią zmieszana. »Mimo to?« Nie rozumiem tego?... Co chcesz przez to powiedzieć?

Ella wymijająco. Nic... Wymknęło mi się tylko.

Pani Borkman. Mówiłaś to tak szczególnym głosem. Coś w tem musi być, Ello?!

Ella patrzy na nią z mocą. Więc tak — to nie było bez znaczenia.

Pani Borkman. Nie dręczcie mnie więcej!

Ella. Przedewszystkiem chcę zauważyć, że i ja mam niejakie prawa do Erharda. Nie odmówisz mi ich chyba?

Pani Borkman mierzy wzrokiem pokój. Rzecz jasna!.. Łożyłaś przecie na niego tyle...

Ella. Ależ co!... Nie o to mi chodzi! Dlatego tylko roszczę sobie do niego jakieś prawa, bo go niezmiernie kocham...

Pani Borkman drwiąco uśmiechnięta. Mego syna? Kochasz go, mimo wszystko?...

Ella. Tak — mimo wszystko. Kocham Erharda, miłością ludzi moich lat... o ile mię tylko stać na to.

Pani Borkman. Nie przeczę, ale...

Ella. I dlatego właśnie doznaję niepokoju, gdy czuję, że mu coś zagraża.

Pani Borkman. Erhardowi coś grozi?! Z czyjej strony?

Ella. Przedewszystkiem ty, swojemi...

Pani Borkman wzburzona. Ja?!

Ella. ...! ta jejmość... Wilton... stąd płyną moje obawy.

Pani Borkman patrzy na nią chwilę zdumiona. I o to posądzasz Erharda! Mego syna! Jego co ma tak wielkie posłannictwo do spełnienia!

Ella lekceważąco. E...c...e... posłannictwo!...

Pani Borkman z oburzeniem. Masz czelność mówić o tem z takim lekceważeniem?!

Ella. Sądzisz, że człowiek w wieku Erharda, młody, zdrow, rzeźki, da się opętać myśli o jakimś poświęceniu, czy »posłannictwie«?

Pani Borkman pewnym głosem. On to uczyni. Jestem tego pewną.

Ella potrząsa głową. Pewną nie jesteś, roisz zaledwie...

Pani Borkman Roję?!

Ella. Weśniłaś się tylko w to! Bo gdyby nie to złudzenie, którego się uparcie chwyciłaś, byłabyś musiała zwątpić w przyszłość, w możność dalszego życia.

Pani Borkman. Na zwątpienie jeszcze nie pora. Zawsztanie. I z tego byś ty była najbardziej rada, Ello!

Ella z podniesioną głową. Tak! Byłabym rada, skoro nie znajdujesz innego środka, jak wyzyskanie Erharda!

Pani Borkman z groźbą. Między nami chcesz stanąć! Między matką i synem! Uważaj!

Ella. Uwolnię go od twojego wpływu — twojej przemocy — twojego sobkowstwa!

Pani Borkman z tryumfem. Nie dokonasz tego! Miałś go w swej sieci do piętnastego roku... Ale teraz odzyskałam go!

Ella. Więc ci go odbiję! Ochrypił, cichym głosem. Myśmy już raz toczyły walkę o człowieka, walkę na śmierć i życie — Gunhildo!

Pani Borkman tonem wyższości. Tak — i odniosłam zwycięstwo.

Ella drwiąco się uśmiecha. Nie pozbyłaś się jeszcze przesądu, że zwycięstwo to mało było dla ciebie korzystnem?

Pani Borkman ponuro. Niestety... To bezlitosna prawda.

Ella. I teraz nie spodziewaj się korzyści...

Pani Borkman. Owszem... Uważam za korzyść dość znaczną zatrzymanie matczynej władzy nad Erhardem.

Ella. Bynajmniej... Bo tobie chodzi wyłącznie o władzę.

Pani Borkman. A tobie?

Ella z uczuciem. Mnie o skarbnicę jego uczuć... o jego duszę... jego szlachetne serce!...

Pani Borkman podniecona. Nie zdobędziesz tego za życia!

Ella wpatruje się w nią. Uprowadziłaś mnie może?

Pani Borkman uśmiecha się. Tak — byłam na tyle ostrożną. Nie wyczytałaś tego w jego listach?

Ella potakuje z powagą. Możliwe... Jego cała istota, treść najwnętrznieszka przebiegała się w tych listach.

Pani Borkman złośliwie. Umiałam korzystać z tych ośmiu lat, w których go miałam znowu pod okiem, moja droga.

Ella odzyskuje spokój. Co mówiłaś o mnie Erhardowi? Wolno wiedzieć?

Pani Borkman Owszem...

Ella. Więc mów!

Pani Borkman. Przedstawiłam mu nagą prawdę.

Ella. Mianowicie?

Pani Borkman. Przypominałam mu bezustannie, że winien ci wdzięczność, że tobie jedynie zawdzięczamy, że mamy teraz być zaspokojony, że wogóle o bycie myśleć możemy.

Ella. Nadto nie?

Pani Borkman. A takie słowa ranią i kołają. Wiem to z doświadczenia.

Ella. Erhard o tem w przybliżeniu wiedział.

Pani Borkman. Początkowo przypuszczał, że czytniś to li tylko z dobroci serca. Patrzy na nią złośliwie. Obecnie zdanie zmienił.

Ella. O ile?

Pani Borkman. Obecnie patrzy na to wszystko bez szkieł... Pytałam go, jak sobie tłumaczy to, że ciotka Ella nigdy nas nie zaszczepa...

Ella przerywa jej. O tem wiedział od dawna!

Pani Borkman. Teraz wie więcej... Wmówiłaś w niego, że to czynisz, aby mnie i... tego tam na górze, zabezpieczyć przed nędzą.

Ella. Bo też tak było.

Pani Borkman. Teraz Erhard już w to nie uwierzy.

Ella. Jakież pobudki mi przypisałaś?

Pani Borkman. Objawiłam mu prawdę: ty się nas wstydzisz i nami — gardzisz. Zaprzeczysz może? Nie nosiłaś się z zamiarem, by mi go zupełnie odebrać? Uderz się w serce... Nie mogłaś tego zapomnieć.

Ella wymijająco. Tak było moją wielką największego



skandalu... gdy sprawa znalazła się pod pręgierzem opinii publicznej. Obecnie wyrzekam się tego rodzaju myśli.

Pani Borkman. Boby też to było bezowocnem. Od tego strzeże go jego posłannictwo... Obecnie on wygląda mojej pomocy, ty jesteś mu zbędną. Tyś go powinna uważać za nieboszczyka, zarówno jak on ciebie.

Ella głosem chłodnym, stanowczym. Nie przesądź sprawy... To się jeszcze okaże. Bo na razie mam zamiar zostać tu.

Pani Borkman zdumiewa się. Tu, na wsi?!

Ella. Właśnie! tu na wsi...

Pani Borkman. Tu — u nas? Przez całą noc?

Ella. W ostateczności gotowam tu osiąść, by dokończyć ostatka dni.

Pani Borkman odzyskuje władzę nad sobą. No tak... Jesteś przecie w swoim domu.

Ella. Et plezier!...

Pani Borkman. Wszystko należy tu do ciebie. Krzesło, na którym siedzę, łóżko, po którym się bezsenna miotam, chleb, który codziennie polykam — wszystko jest z twojej łaski.

Ella. To rzecz nieodmienna. Borkman nie może mieć żadnej własności, bo zaraz się zjawi ktoś, co mu ją odbierze.

Pani Borkman. Wiem, wiem... Musimy się z myślą oswoić, że wiecznie żyć będziemy na twoim chlebie.

Ella chłodno. Nie mogę cię zmusić do patrzenia na ten stosunek z odmiennego kąta widzenia.

Pani Borkman. Istotnie nie możesz. — Kiedy mamy się stąd wynieść?

Ella nie rozumiejąc. Wynieść?

Pani Borkman wzburzona. Nie przypuszczasz chyba, że zamieszkać z tobą pod jednym dachem! Raczej w przytułku dla ubogich lub na gościńcu!...

Ella. Jeśli tak — to odstąp mi Erharda...

Pani Borkman. Erharda! Mojego syna! Moje dziecko!

Ella. Tak! Wówczas odjadę niezwłocznie.

Pani Borkman po chwilowym namyśle, mówi stanowczo. Niechaj wybiera — między nami.

Ella patrzy na nią niepewnie i pytająco. Pozwolisz mi na wybór? Nie lekasz się zawodu?

Pani Borkman śmieje się rażąco silnie. Zawodu?! Gdy chodzi o wybór mego syna — między jego matką, a tobą! Mówisz o zawodzie...

Ella nadśledzuje. Zdaje mi się, że słyszę jakieś kroki... Zapewne ktoś nadchodzi...

Pani Borkman. To pewnie Erhard...

Kilkakrotne, szybkie stukanie w drzwi, po chwili otwierają się. Wchodzi w stroju towarzyskim i płaszczu — **Pani Wilton.** Za nią idzie służąca, która nie zdążyła oznajmić jej przybycia i stoi bezradna. Drzwi na wpół otwarte. **Pani Wilton** jest kobietą o bujnych kształtach, uderzająco piękną. Lat liczy 30. Usta pełne, malinowe, śmiechnięte. Oczy tryskające życiem. Włos ciemny, bogaty.

Pani Wilton. Dobry wieczór, kochana pani.

Pani Borkman eokolwiek oschle. Dobry wieczór, kochana pani. Do służącej, wskazując na pokój sąsiedni. Weź stamtąd lampę i zapal ją. Służąca wychodzi z lampą.

Pani Wilton zauważa Ellę. O, przepraszam... pani ma gości...

Pani Borkman. To moja siostra, dziś właśnie przybyła.

Erhard Borkman wpada nieprzymkniętymi drzwiami. Jest młodzieńcem o jasnym, wesołym spojrzeniu; wytwornie ubrany. Wąs ledwie widoczny.

Erhard na progu, rozpromieniony. Co za niespodzianka! Ciotka Ella tu?! Śpieszy ku niej i chwytając jej rękę. Ciciu, ciciu! To ty, naprawdę?!

Pani Borkman ostrym głosem. Cóż znowu, Erhardzie! Zapominasz o nas?

Pani Wilton prędko. Erhard, to jest pan Borkman, przybył wraz ze mną.

Pani Borkman mierząc go wzrokiem. Więc nie do mnie pierwszej przychodzisz, Erhardzie?

Erhard. Wpadłem tylko na chwilę do pani Wilton — aby zabrać ze sobą małą Frydę.

Pani Borkman. Jest więc także panna Foldal?

Pani Wilton. Tak, czeka w przedpokoju.

Erhard przez otwarte drzwi. Panno Frydo, udaj się pani na górę.

Przerwa. Ella wpatruje się w Erharda. Jego twarz zdradza zakłopotanie i niecierpliwość. Stopniowo jednak przybiera pozór chłodu. — Służąca wnosi płonącą lampę do sąsiedniego pokoju.

Pani Borkman z wymuszoną uprzejmością. Proszę pani... spędzimy wieczór tam...

Pani Wilton. Serdecznie dziękuję. Ale muszę się wyrzec tej przyjemności. Jesteśmy proszeni gdzieś indziej. Czekają nas u adwokata Hinkla.

Pani Borkman patrzy na nią. »Nas?« Kogo pani jeszcze ma na myśli?

Pani Wilton z uśmiechem. Właściwie siebie samą. Damy jednak mię prosiły, bym im przywiodła młodego pana — Borkmana, gdybym się z nim przypadkiem zetknęła.

Pani Borkman. I przypadek ten istotnie zaszedł...

Pani Wilton. Tak — dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Bo pan Borkman zaszczycił mię właśnie swoją osobą — wstępując po Frydę.

Pani Borkman oschle. Erhardzie... nie wiedziałam wcale, że tych państwa znasz — tych Hinklów.

Erhard zniecierpliwiony. Bo też właściwie nie znam ich... Dodaje opryskliwie. Wiesz przecie dobrze, z którymi domami utrzymuję stosunki.

Pani Wilton. Mój Boże! U nich bardzo łatwo o nawiązanie stosunków. To tacy weseli, pogodni, gościnni ludzie! Mnóstwo też tam młodych kobiet.

Pani Borkman dobitnie. O ile syna własnego znam, to nie nazwę tego towarzystwa dla niego odpowiedniem, droga pani.

Pani Wilton. Miły Boże, on przecie także jest młody!

Pani Borkman. Oczywiście. Jest młody, co właśnie...

Erhard ze źle ukrywaną niecierpliwością. Już zostaw, mammo. Zostaję z wami, z tobą i ciotką Ellą — to przecie oczywiste.

Pani Borkman. Wiedziałam o tem, mój synu.

Ella. Nie, Erhardzie, mną się wcale nie krępuj.

Erhard. Owszem ciociu, to już rzecz załatwiona. Patrzy pytająco na panią Wilton. Ale co będzie z nami?

Złożyła pani przecie obietnicę — w moim imieniu.

Pani Wilton z udanym spokojem. To nic! Znajdzie się rada. Stanąwszy w ich jasnym, wykwintnym salonie — samotna i opuszczona! — usprawiedliwię pana.

Erhard cedi. Jeśli pani uważa to za stosowne...

Pani Wilton swobodnym głosem. Tyle razy już obiecywałam i odmawiałam — sobie i innym... A pan miałbyś opuszczać właśnie przybyłą ciotkę? Wstyd, mości Erhard — to ma być postępowanie syna?

Pani Borkman nieprzyjemnie dotknięta. Syna?

Pani Wilton. Przybranego syna — powiedzmy.

Pani Borkman. To określenie — nieodzowne.

Pani Wilton. Znam wypadki, w których ludzie wzdziczają więcej matkom przybranym, aniżeli rodzinym.

Pani Borkman. Opiera się pani może na własnem doświadczeniu.

Pani Wilton. Mój Boże — ja matki swej prawie że nie znałam. Gdybym jednak była posiadała taką dobrą matkę przybraną — nie byłabym może tak złą — jak ludzie o mnie głoszą. Do Erharda. Zostajemy tedy, jak się godzi, mości Erhardzie, w domu, u matki i cioci i pijemy z niemi herbatę... Do pań. Żegnam pani i życzę dobrej nocy!

Panie odkłaniają się milcząco. Ona zabiera się do wyjścia.

Erhard idąc za nią. Pozwoli mi pani trochę sobie towarzyszyć?

Pani Wilton u drzwi, stanowczo. Ani kroku pan ze mną nie pójdzie. Jestem już przywykła do samotnego odbywania drogi. Zatrzymuje się w otwartych drzwiach, mierzy go wzrokiem i potrząsa głową. A teraz ostrzegam pana, miej się na baczności!

Erhard. Przed czem mam się mieć na baczności?

Pani Wilton wesoło. Puszczam się teraz w drogę — samotna i opuszczona... i kto wie, czy nie doświadczę siły swych czarów na — panu.

Erhard śmieje się. A tak!... Nic nie mam przeciw temu.

Pani Wilton na pół poważnie. Strzeż się pan! Na środku drogi gotowam zawołać w duszy, przyzwawszy na pomoc wszystką siłę woli: Panie Erhardzie, chwytaj pan za kapelusz!

Pani Borkman. I sądzi pani, że uchwyci?

Pani Wilton śmiejąc się. Bez wątpienia... natychmiast weźmie kapelusz. A potem dodam: I włoż pan ładnie zarzutkę, Erhardzie Borkman! I kalosze! Uchowaj Boże, bez kaloszy! I chodź pan za mną! Bez oporu, grzecznie, przykładnie!

Erhard z wymuszonym humorem. Natenczas może pani być pewną wyniku!

Pani Wilton groźąc mu palcem. Bez oporu, grzecznie, przykładnie! — Dobrej nocy! Śmieje się, i skinąwszy paniem głową, zamyka za sobą drzwi, wchodowe.

Pani Borkman. Czy ona doprawdy bawi się w tego rodzaju dziwactwa?

Erhard. Ani śladu. Jak możesz nawet przypuszczać. To były żarty. Urywając. Ale nie mówmy już o pani Wilton. Sadowi przemocą Ellę w fotelu obok pieca.

Erhard stoi chwilę zapatrzony i patrzy na nią. Że też odważyła się na tak długą podróż, ciociu, i w dodatku w zimie!

Ella. Uczyniłam to — ostatecznie — z konieczności, Erhardzie.

Erhard. Tak? Cóż zaszło?

Ella. Nie mogłam już dłużej pozostać bez opieki lekarskiej.

Erhard. To dobrze!

Ella uśmiecha się. Tak cię to cieszy?

Erhard. Cieszy mię, żeś nareszcie o tem pomyślała.

Pani Borkman z kanapy, chłodno. Chorą jesteś, Ello?

Ella patrzy na nią nieprzyjaźnie. Wiesz dobrze, że chorą, Gunhildo.

Pani Borkman. Wiem, żeś była chorowita... od dawna...

Erhard. Prosiłem cię jeszcze dawniej, gdyś był u ciebie, byś zasięgała porady lekarskiej.

Ella. Nie znałam w tamtej okolicy godnego zaufania lekarza. Nie doznawałam przytem takich cierpień dotychczas.

Erhard. Czujesz się gorzej, ciociu?

Ella. Tak, mój chłopcze, znacznie gorzej.

Erhard. Ale niebezpieczeństwa chyba niema?

Ella. To rzecz względna.

Erhard gorąco. W takim razie, nie puścimy cię tak prędko, ciociu.

Ella. Nie myślę też o ucieczce.

Erhard. Zamieszkasz w mieście, gdzie masz najlepszych lekarzy do wyboru.

Ella. Jechałam tu właśnie z tym zamiarem.

Erhard. Musisz się tylko wystarać o odpowiednie pomieszkkanie: zaciszne i wygodne.

Ella. Zajechałam dziś rano do starej znajomej.

Erhard. Bardzo szczęśliwa myśl.

Ella. Nie przeczę, ale nie zamieszkam u niej dłużej.

Erhard. Nie? Dlaczegoż nie?

Ella. Ponieważ w międzyczasie powzięłam lepsze postanowienie.

Erhard zdziwiony. Tak? Wolnoż wiedzieć?

Pani Borkman dokuczliwie, nie podnosząc głowy. Twoja ciotka zamieszka tu, u siebie, Erhardzie.

Erhard patrzy to na jedną, to na drugą. Tu?! U nas?! Z nami?! Czy to prawda, ciociu?

Ella. To ostatnie moje postanowienie.

Pani Borkman j. w. Wiesz przecie, że wszystko należy do twojej ciotki.

Ella. Zostaję tedy przy was, Erhardzie. Na jakiś czas przynajmniej. Urządę się w domku zarządcy...

Erhard I siusznie... Jest tam dość pokoi do rozporządzenia. Z nagłem ożywieniem. Mam pewien pomysł, ciociu. Czy podróż cię bardzo znużyła?

Ella. Jestem nieco zmęczona.

Erhard. W takim razie powinnaś wcześniej pójść na spoczynek.

Ella patrzy nań z uśmiechem. Uczynię też tak.

Erhard. A dalszą pogawędkę odłożymy na jutro, albo kiedy indziej. Dobrze? Będziemy we troje opowiadali sobie o wszystkim, ty, mama i ja. Zgoda, ciociu?

Pani Borkman wstaje podrażniona z kanapy. Erhardzie, widzę, że ci pilno w drogę!

Erhard drgnął. Nie rozumiem...

Pani Borkman. Pilno ci — do Hinklów.

Erhard wbrew woli. A tak! Opanowuje się. Mam tu siedzieć do połowy nocy i pozbawiać ciotkę odpoczynku? Wiesz przecie, że zdrowie jej tego wymaga.

Pani Borkman Wyrzwasz się do Hinklów, Erhardzie!

Erhard niecierpliwie. Mój Boże, mam, ty jesteś dziwna... A ty co na to, ciociu?

Ella. Idź za głosem swojej woli, dziecko.

Pani Borkman zbliża się do niej z groźną twarzą. Chcesz go przeciw mnie zbuntować?

Ella wstaje. Oby mi się to udało, siostrzo!

Z góry spływają dźwięki fortepianu.

Erhard wije się jakby w cierpieniu. Nie zniosę tego!

Szuka wzrokiem. Gdzie mój kapelusz? Do Elli. Znasz ten utwór, co go na górce grają?

Ella. Nie? Co to jest?

Erhard. »Danse macabre.« Taniec śmierci. Znasz taniec śmierci, ciociu?

Ella z bolesnym uśmiechem. Jeszcze nie, mój chłopcze.

Erhard do matki. Mam — błagam cię — pozwól mi odejść.

Pani Borkman patrzy nań surowo. Nie chcesz przy matce swej zostać? Opuszczasz ją!

Erhard. Wrócę przecie! Może nawet jutro...

Pani Borkman z rosnącym wzburzeniem. Opuszczasz mię! Dla obcych ludzi! Dla... dla.. wolę już nie kończyć.

Erhard. Tam tyle światła! I takie młode, wesołe twarze! I muzyka!...

Pani Borkman. Masz tu także muzykę — na górce..

Erhard. Ta właśnie muzyka nie daje mi tu usiedzieć.

Ella. Drażni cię jedyna przyjemność, na którą sobie twój ojciec pozwala?

Erhard. Nie drażni mię wcale, byłem jej nie musiał słuchać.

Pani Borkman patrzy nań z wyrzutem. Silnym bądź, Erhardzie! Silnym i wytrzymałym! Pomnij, jakie masz posłannictwo!...

Erhard. Ach, mam, nie dręcz mię tymi frazesami! Nie nadaję się zupełnie na posłannika, czy apostoła.— Dobranoc, ciociu! Dobranoc, mam! Wychodzi pospiesznie przez przedpokój.

Pani Borkman po chwilowej przerwie. Odzyskasz go niezadługo, Ellu.

Ella. Ziściłyby się wówczas moje najgorętsze życzenia.

Pani Borkman. Ale uprzedzam cię: nie na długo. Prędko go utracisz znowu.

Ella. Za twoją sprawą?

Pani Borkman. Za moją — lub innej

Ella. Wolę za jej sprawą, niż za twoją.
Pani Borkman potakuje. Oczywiście. Zgadza się najzupełniej. Wolę, by ona go posiadała, jak ty.

Ella. Choćby go przywiodła, nie wiem, do czego...
Pani Borkman. Bo wynik byłby ten sam.

Ella bierze kapelusz i płaszc. Po raz pierwszy w życiu myśli nasze się zgadzają — siostró moja. — Dobrej nocy! Wychodzi przez przedpokój.

Muzyka brzmi coraz silniej.

Pani Borkman stała chwilę bez ruchu, następnie drgnęła i szepnęła ze skrzywioną twarzą. Wilk wyje znowu. Wyje z bólu! Stoi chwilę spokojna; nagle rzuca się na podłogę i wijąc się z bólu, szeptem z jękiem. Erhardzie! Erhardzie, pozostaw mi wiernym! Przybывай mi z pomocą, bo tych mąk już nie wytrzymam dłużej!

AKT II.

Wielka, główna sala w domu Renheimów. Ściany obite starymi gobelinami, na których widnieją sceny z życia myśliwskiego, spłofnięte już i niewyraźne. W ścianie lewej drzwi; tamże bliżej sceny fortepian. W lewym kącie ściany tylnej małe ścienne drzwi. Przy ścianie prawej, na środku, wielkie, rzeźbione biurko z mnóstwem książek i papierów. Meble stylowe, ciężkie. Na pulpicie i stole płożą lampy.

Jan Gabryel Borkman stoi obok fortepianu z rękoma w tył założonemi i słucha ostatnich dźwięków utworu „Danse macabre“, granego przez **Frydę Foldal**. — **Borkman** jest mężczyzną 60-letnim, średniego wzrostu, silnej, czarnej budowy. Powierzchność wytworna, twarz piękna, oczy głębokie. Włosy na głowie i brodzie siwe, kędzierzawe. Nosi czarne ubranie i biały krawat. — **Fryda Foldal** jest ładną, bladą dziewczeciem, lat piętnastu. Jej twarz zdradza znużenie i zbytne nateżenie. Ubrana jest w białą sukienkę skromnie uszytą. Utwór muzyczny skończony. — Krótkie milczenie.

Borkman. Zgadnij pani, gdzieś po raz pierwszy słyszał podobne dźwięki.

Fryda podnosi nań wzrok. Gdzie?

Borkman. Głęboko — w kopalniach.

Fryda nie rozumiejąc. W kopalniach?...
Borkman. Jestem synem górnika. Nie wie o tem pani?

Fryda. Nie, proszę pana.
Borkman. Jestem synem górnika. Ojciec brał mnie nieraz do kopalni. I tam śpiewa spiż.

Fryda. Śpiewa? Doprawdy?

Borkman potakuje. Tak, podczas uderzania młotów; bo to brzmi jak głos dzwonów północnych, co dźwiękami wyzwalają. Dlatego śpiewa spiż — z radości — śpiewa z wdzięczności.

Fryda. A z czego się raduje?

Borkman. Że się dostanie na światło dnia i pójdzie w służbę ludzi. Chodzi po pokoju z rękoma wciąż w tył założonemi.

Fryda siedzi chwilę, czekając, spogląda potem na zegarek i wstaje.

Pan wybacz, ale już muszę odejść.
Borkman staje przed nią. Chce już pani iść?

Fryda składa nuty. Muszę iść. Z widocznym zakłopotaniem. Otrzymałam zamówienie na dzisiejszy wieczór.

Borkman. Do jakichś państwa?

Fryda. Tak.

Borkman. I będzie pani grała przed całym towarzystwem?

Fryda. Tak.

Borkman. I będzie pani grała przed całym towarzystwem?

Fryda przygryzła usta. Nie — będę przygrywała do tańca.

Borkman. Tylko do tańca?

Fryda. Tak. Po kolacyi będą tańce.

Borkman patrzy na nią chwilę. Grywa pani chętnie do tańca po domach?

Fryda ubiera płaszc. O ile mnie do tego wzywają, bo... bo zawsze mam z tego jakiś dochód.

Borkman badawczo. Czy myśli pani tylko o tem, siedząc przy fortepianie i grając do tańca?

Fryda. Nie. Myślę przedewszystkiem o tem, jak to smutne, że nie mogę sama brać udziału w tańcu.

Borkman potakuje. O to mi właśnie chodziło. Mierzy niespokojnym krokiem pokój. Tak, tak... samemu nie mieć udziału, to rzecz nader smutna. Zatrzymuje się. Jedno pani wszystko winno nagrodzić, panno Frydo.

Fryda patrzy nań pytająco. Co, proszę pana?

Borkman. Jedno powtarzam: Masz pani w sobie dziesięć razy tyle muzyki, ile całe towarzystwo razem wzięte.

Fryda śmieje się wymijająco. To na razie tylko przypuszczenie.

Borkman ostrzegawczo podnosi palec w górę. Nie straciła pani chyba jeszcze rozumu, by o sobie zwątpić.

Fryda. Skoro nikt tego nie znajduje...

Borkman. Wystarczy, byś sama o tem wiedziała. — U kogo pani dziś gra?

Fryda. U adwokata Hinkla.

Borkman patrzy na nią ostro. Do Hinkla — powiada pani?

Fryda. Tak.

Borkman z gorzkim uśmiechem. Do niego chodzą ludzie? Z tym człowiekiem ktoś obcuje?

Fryda. To bardzo uczęszczany dom — jak opowiada pani Wilton.

Borkman niecierpliwie. Ale jacy ludzie? Nie wie pani?

Fryda cokolwiek strwożona. Nie wiem — doprawdy. Słyszałam tylko, że dziś ma tam być młody pan Borkman.

Borkman z żalem. Erhard? Mój syn?!

Fryda. Tak, pan Erhard.

Borkman. Skąd pani o tem wie?

Fryda. Powiedział sam przed godziną.

Borkman. Był dzisiaj tu, na wsi?

Fryda. Tak. Spędził całe popołudnie u pani Wilton?

Borkman badawczo. Nie wie pani, czy był tu także? Czy był na dole?

Fryda. Tak, był u wielmożnej pani, na dole.

Borkman z goryczą. No tak... rozumiem.

Fryda. Zdaje mi się, że tam była jeszcze jakaś obca dama.

Borkman. Tak? To pewnie któraś z pań, które ją odwiedzają.

Fryda. Powiedzieć panu Erhardowi, gdy go tam zastane, by wstąpił także do pana?

Borkman ostro. Proszę mu bezwarunkowo nic nie mówić. Wypraszam sobie wszelkie pośrednictwo. Jeśli ktoś zechce mnie odwiedzić, to może przyjsz sam. Nie narzucam się nikomu.

Fryda. Nie powiem w takim razie nic. — Dobranoc panu.

Borkman chodzi po pokoju pomrukując. Dobranoc.

Fryda wychodzi małemi drzwiami w kącie lewej ściany.

Borkman zbliża się zamyślony do fortepianu, by go zamknąć, cofa się jednak po chwili i rozgląda się po pustym pokoju. Po chwili zaczyna swoją wędrowkę po pokoju, z jednego kąta do drugiego — bez przerwy. Po jakimś czasie staje przed biurkiem, następuje w kierunku drzwi, któremi wyszła Fryda, bierze przedko zwierciadło, poprawia krawat i przygląda się uważnie. — Ktoś puka w drzwi. Borkman słyszy pukanie, rzuca wzrokiem na drzwi i milczy. Po chwili powtarza się pukanie, tym razem silniejsze.

Borkman opiera się prawą ręką o biurko, lewą kładzie na pierś. Proszę!

Wilhelm Foldal wchodzi nieśmiało. Postać pochyłona — znamionuje wycieńczenie z powodu nadmiernej pracy. Oczy niebieskie, łagodne; włosy długie, siwe; spadający na kołnierza surduta. W ręku zwój papierów i miękki, płócienny kapelusz. Noszi wielkie, rogowe okulary, które często nasuwa na czoło.

Borkman zmienia postawę i zwraca się ku wchodzącemu z pełnym rozezowaniem, ustępując miejsca zadowoleniu. Ach, to tylko ty.

Foldal. Dobrego, spokojnego wieczora życzę, Janie Gabryelu. To ja — w swojej najwłaśniejszej osobie.

Borkman patrzy nań surowo. Znajduję, że nie śpieszysz się tu zbyt.

Foldal. Mój Boże, nie lada drogę mam do odbycia. Iść pieszo to nie żarty.

Borkman. A dlaczego odbywasz drogę pieszo? Masz w pobliżu kolej konną.

Foldal. Wolę iść — ze względu na zdrowie. Przytem zaoszczędza się tych parę groszy. — Była tu Fryda, by ci coś zagrać?

Borkman. Wyszła przed chwilą. Nie spotkałeś jej na ulicy?

Foldal. Nie. Nie widuję jej od wieków już. Od kiedy trzyma ją u siebie ta pani Wilton...

Borkman siada na kanapie i wskazuje mu ręką krzesło. Siadaj, Wilhelmie.

Foldal siada na brzegu krzesła. Dziękuję, dziękuję. Patrz nań ze smutkiem. Nie uwierzysz, jak się czuję samotnym, od czasu gdy Fryda się przeniosła tu na wieś.

Borkman. No... no... masz przecie prócz niej jeszcze dość tego.

Foldal. Mam ich pięcioro — moich dzieci. Ale Fryda była wśród nich jedyną, która mię choć trochę rozumiała. Potrzasa ze smutkiem głową. Bo tamte wcale a wcale mnie nie rozumieją.

Borkman patrzy ponurys przed siebie i bębni palcami po stole. Tak, tak wciąż to błędne koło... Ta kłątwa, co na nas nielicznych — wybrańcach ciąży. Tłum, pospólstwo, szare, przeciętne masy nie rozumieją nas, Wilhelmie.

Foldal zrezygnowany. Rozumieć — tego nie można zaraz wymagać. Trochę cierpliwości i hartu, a można wytrwać. Głosem przez łyż tamowanym. Ale jest jeszcze coś — znacznie gorszego.

Borkman stanowczo. Niema nic gorszego!

Foldal. Jest, jest, Janie Gabryelu. Ja zniósłem właśnie... przed odejściem z domu scenę.

Borkman. Tak? Dlaczego?

Foldal z wybuchem. Oni... w domu... mną gardzą!

Borkman zdumiony. Gardzą tobą?!

Foldal ociera łzy. Domyślałem się tego już dawno, ale dopiero dziś wyszło wszystko na jaw.

Borkman po krótkiej przerwie. Uczyniłeś zapewne nieodpowiedni wybór, żeniąc się.

Foldal. Nie miałem prawie wyboru. A schodząc w lata, myśli się tak skwapliwie o ożenku, zwłaszcza taka nędzota, jakim ja byłem wówczas.

Borkman zrywa się groźnie. To przytyk do mnie?! Robisz mi zarzuty?!

Foldal strwożony. Na miłość Boską, Janie Gabryelu!...

Borkman. Wyrzucasz mi nieszczęście, które spadło na bank!...

Foldal uśmierza go. Nie posądzam przecie nigdy ciebie o winę! Uchowaj Boże!...

Borkman pomrukuje, siada. No, tak to co innego...

Foldal. Zresztą nie oskarżam o nic mojej żony. Przyznaję, że nie posiada dużo wykształcenia, ale to pocziwa dusza; można z nią żyć w spokoju. To głównie dzieci...

Borkman. Wyobrażam sobie.

Foldal. Dzieci mają już więcej ogłady... szersze horyzonty i dlatego też mają większe wymagania.

Borkman patrzy nań z współczuciem. I dlatego tobą gardzą, Wilhelmie?

Foldal wzrusza ramionami. Że nie zaszedłem zbyt wysoko, wiem nazbyt dobrze, ale...

Borkman wyciąga rękę i kładzie ją na jego ramieniu. Nie wiedzą o tem, że napisałeś tragedję, jeszcze przed laty?

Foldal. Owszem, wiedzą. Ale zdaje się, że mało to na nich robi wrażenie.

Borkman. Bo brak im zdolności do zrozumienia jej. Twoja tragedia jest bez zarzutu — jestem o tem najzupełniej przekonany.

Foldal z promieniejącą twarzą. Prawda, że ma niektóre zalety? Żeby to już raz ujrzeć ją na scenie! Zaczyna

przerzucić przyniesione papiery. Uważaj! Pokażę ci kilka zmian...

Borkman. Masz rękopis przy sobie?

Foldal. Tak, przyniosłem go. Nie czytałem ci już tak dawno, że myślałem, że chętnie posłuchasz kilka scen...

Borkman odmawiając. Nie, nie, zostawmy to na kiedy indziej. Wstaje.

Foldal. Jeśli tak uważasz...

Borkman chodzi po pokoju, a Foldal składa rękopis.

Borkman staje przed nim. To prawda, coś powiedział. żeś daleko nie zaszedł... Ale przysięgam ci, Wilhelm, gdy dla mnie wreszcie wybiję godzina odwetu...

Foldal chce wstać. Jakżem ci wdzięczny!...

Borkman ruchem ręki wstrzymuje go. Siedź! Z rosnącym zapałem. Gdy wybiję godzina odwetu, gdy ujrzą, że bezemnie nic nie działała... i w prochu tu się przy-czołgają i błagać będą, bym objął zarząd banku... Tego nowego banku, co go założyli, a kierować nim nie umieją... Staje przed biurkiem, jak przed wejściem Foldal a uderza się w piersi. Na tem miejscu stanę, by ich przyjąć. I szeroko roznieś się wieść po kraju, jakie warunki dyktuje Jan Gabryel Borkman, gdy mu... Przerywa nagle i wpatruje się w Foidala. Patrzysz na mnie z niedowierzaniem! Sądziś może, że nie przyjdą? Że przyjść muszą, muszą? Nie wierzysz w to?

Foldal. Bóg mi świadkiem, że wierzę.

Borkman siada znowu na kanapie. Wierzę w to niezbi-cie — z niewzruszoną pewnością. Bo gdybym nie miał tej pewności, dawnobym sobie kulą łeb roz-trząskał.

Foldal przerażony. Na miłość Boską!...

Borkman z tryumfem. Ale przyjdą! przyjdą! Oczekuję ich codziennie, każdej niemal godziny... I dlatego, widzisz, zawsze jestem gotów na ich przyjęcie.

Foldal z westchnieniem. Żeby tylko jak najprędzej przyszli.

Borkman niespokojnie. Oczywiście. Czas mija, lata mijają i życie... Nie, nie, nie wolno mi o tem myśleć. Wiesz, jak nieraz sobie wyobrażam swój los?

Foldal. Jak?

Borkman. Wydaje mi się, że jestem którymś z Na-poleonów, którego w pierwszej bitwie kula przy-prawiła o kalectwo.

Foldal kładzie rękę na rękopis. Znam dobrze to uczucie.

Borkman. Oczywiście... na mniejszą skalę.

Foldal ze spokojem. Mój mały światek poezji posiada dla mnie wielką, nieocenioną wartość, Janie Gabryelu.

Borkman z uniesieniem. A cóż dopiero ja, który mogłem posiadać miliony! Opanować przemysł gór-niczy, poprowadzić kopalnie w nieskończoność, po-tworzyć wodospody i kamieniołomy! Poprowadzić nowe sieci dróg handlowych na lądzie i morzu! I wszystko to mogło być powołane do życia prze-zemnie jednego!

Foldal. Wiem, wiem, ciebie by nic nie odstraszyło.

Borkman zamyka ręce. I teraz muszę tu siedzieć jak ptak z postrzelonem skrzydłem i spokojnie patrzeć, jak mnie inni wyprzedzają, jak z przed oczu mi chwy-tają sposobność za sposobnością.

Foldal. Znoszę te same katusze.

Borkman nie zważając na jego uwagę. To wprost nie-słychane! Stałem tuż, tuż u celu. Gdyby byli ośm dni jeszcze poczekali, wszystkoby było w porządku zostało. Papiery, które śmiałą ręką naruszyłem, by-łyby wróciły na dawne miejsce. Dzień, dwa a byłbym stworzył przedsiębiorstwa, o jakich świat nie słyszał. Niktby nie był grosza stracił.

Foldal. Miły Boże — tak być blizkim celu!...

Borkman rozwściekłony. I wówczas spadł mi na kark ten donos! Właśnie w tych dniach, gdy moje za-

miary zaczęły się oblekać w ciało! Patrzy nań. Wiesz, co uważam za najpodlejszą zbrodnię: jaką człowiek może popełnić?

Foldal. Nie... Słucham.

Borkman. Nie morderstwo, ani rozbój lub włamanie się w nocy. Nie wymienię nawet krzywoprzysięstwa, bo tego rodzaju przestępstw dopuszcza się względem ludzi, których się nienawidzi lub których się zupełnie nie zna.

Foldal. Cóż jest najpodlejsze, Janie Gabryelu?

Borkman z naciskiem. Najpodlejszą zbrodnią jest zdrada przyjaciela.

Foldal z niejakim wahaniem. Tak, tak, ale czasami, widzisz...

Borkman rozdrażniony. Zgaduję co chcesz powiedzieć, ale to zupełnie mylne. Ci wszyscy, którzy mieli jakiś udział w banku, byłiby do grosza wszystko odebrali; najmniejsza strata im nie groziła. — Nie, mój drogi, najpodlejsza rzecz, jaką człowiek może popełnić, jest nadużycie zaufania przyjaciela, wydanie na łup ludzkich języków tego, co jednemu, jednemu zostało powierzone: w cztery oczy, niby szept w ciemnym, pustym, szczerze zamkniętym pokoju. Człowiek, który posługuje się takimi środkami, jest na wskroś zarażony zgnilizną moralną, jest łotrem niegodnym wspomnienia. I takiego miałem przyjaciela. I on mię zepchnął w przepaść.

Foldal. Domyślam się, kto nim był.

Borkman. Nie miałem najdrobniejszej myśli, z którejbym mu się nie zwierzył. A później, gdy nadeszła rozstrzygająca chwila, skierował przeciw mnie broń, którą mu sam ukułem.

Foldal. Nie mogłem nigdy odgadnąć, dlaczego to?... Bo ludzie podejrzewali rozmaicie. Pleciono to i owo.

Borkman. Cóż mówili? Powiedz! Nie wiem nic o tem, przecie zaraz mnie... odcięto od świata. Co ludzie gadali?

Foldal. Mówili, żeś miał ministrem zostać.

Borkman. Ofiarowano mi tekę, ale odrzuciłem.

Foldal. Nie byłeś mu tedy zawadą.

Borkman. O nie — nie dlatego mię zdradził.

Foldal. Wobec tego nie pojmuję...

Borkman. Mogę ci odkryć właściwą przyczynę.

Foldal. Słucham.

Borkman. Stawka była tu kobieta. Zwyczajna historia kobieca.

Foldal. Kobieta?

Borkman niecierpliwie. Nie mówmy więcej o tych starych głupstwach. Ale ministrem nie został żaden z nas.

Foldal. On jednak poszedł w górę.

Borkman. A ja stoczyłem się w przepaść.

Foldal. Co za smutna tragedia!

Borkman potakuje. Omal że nie tak smutna jak twoja, zważywszy cały przebieg.

Foldal. Masz słuszność. Ogromnie smutny przypadek.

Borkman śmieje się cicho. Ale z drugiej znowu strony, można to uważać za rodzaj komedii.

Foldal. Komedyi, mówisz?!

Borkman. Sądząc z następstw... z ciągu dalszego historii. Bo uważaj...

Foldal. Słucham.

Borkman. Frydy nie zastałeś już u mnie — odeszła.

Foldal. Tak.

Borkman. Otóż podczas gdy my tu siedzimy samotni, ona przygrywa do tańca w domu człowieka, który mnie zdradził i zniszczył.

Foldal. O tem nie miałem pojęcia.

Borkman. Tak... Zabrała swoje nuty i poszła wprost stąd do domu tych państwa.

Foldal tonem usprawiedliwienia. Moje biedne dziecię...

Borkman. Izgadnij komu między innymi przygrywa?

Foldal. Komu?

Borkman. Memu synowi.

Foldal. Co?!

Borkman. Cóż ty na to, Wilhelmie? Mój syn tańczy u niego w salonie! I jak tu nie mówić o komedii?!

Foldal. On zapewne o niczem nie wie.

Borkman. Kto nie wie?

Foldal. Twój syn. Nie wie z pewnością, w jaki sposób ten się... z tobą...

Borkman. Możesz go wymienić po nazwisku. Oswoiłem się już z tą myślą.

Foldal. Jestem przekonany, że syn twój nie przypuszcza nawet, jaki was łączy stosunek.

Borkman ponuro, uderzając palcami o stół. Wie o wszystkim — jak prawdą jest, że tu siedzę.

Foldal. Jakżeż może pokazywać się w domu tych ludzi?

Borkman. potrząsa głową. Mój syn ma odrębny kąt widzenia. Przysięgłbym, że przeszedł do obozu moich nieprzyjaciół. On musi sądzić, że adwokat Hinkel spełnił tylko psi obowiązek i powinność, zdradzając mnie.

Foldal. Ależ, mój drogi, któż mu sprawę w takim świetle mógł przedstawić?

Borkman. Kto? Nie zapomnij tylko, kto go wychowywał. Najpierw ciotka — od siódmego czy ósmego roku życia, a następnie — matka.

Foldal. Zdaje mi się, że im pod tym względem wyrządzasz krzywdę.

Borkman zrywając się. Nie umiem nikogo krzywdzić! Ale powtarzam ci, że obie go przeciw mnie buntowały.

Foldal nie opierając się. Tak... tak... to możliwe.

Borkman z goryczą. Ach, te kobiety! To duchy przeżenienia, co nam wysysają siłę z mięśni, paczą nasze myśli, obezwładniają wolę.

Foldal. Słuchaj: nie wszystkie!

Borkman. Nie? Wymień mi jeden wyjątek!

Foldal. W tem właśnie trudność... Tych kilka, które znam, nie odbiega od tego typu...

Borkman z ironią. Cóż za zysk z tego, że takie kobiety istnieją, skoro się ich nie zna.

Foldal z uczuciem. Owszem, Janie Gabryelu, zysk jest bardzo pokaźny. Bo, czyż nie napełnia uczuciem radości i zadowolenia myśl, że gdzieś tam w odległej dali żyje jakaś prawdziwa kobieta?

Borkman z gestem zniecierpliwienia. Zaprześciłże swoich bredni poetyckich!

Foldal patrzy nań z głębokim żalem. Brednią poetycką — nazywasz najświętszą moją wiarę?!

Borkman stanowczo. Tak! Pozwoliłem sobie na tę śmiałość. I jeśli w życiu nie zaszedłeś daleko — to w tem właśnie szukaj przyczyny. Bo gdybyś się wyrzekł podobnych głupstw, to mógłbym ci jeszcze postawić na nogi — zapewnić ci powodzenie.

Foldal pieni się z tajonej złości. Tego nie możesz na razie dokonać.

Borkman. Zmogę, gdy tylko odzyskam władzę.

Foldal. Trudno na razie urzeć kres tej drogi.

Borkman dotknęty. Sądzisz, że ta chwila nie nadejdzie? Odpowiadaj!

Foldal. Nie wiem co ci mam odpowiedzieć.

Borkman wstaje, i wskazując mu drzwi, mówi zimno i z góry. W takim razie jesteś mi — zbyteczny.

Foldal porywa się. Zbyteczny?!

Borkman. W chwili, gdy tracisz wiarę w moją przyszłość, w możność zwrotu...

Foldal. Nie mogę uwierzyć w coś, co stoi w jawnej sprzeczności ze zdrowym rozsądkiem! — Musiano by ci wpiwer przywrócić wszystko..

Borkman. Dalej! Dalej!

Foldal. Egzaminów wprawdzie nie zdawałem, ale tyle przecie zachowałem w pamięci, że...

Borkman szybko. Więc sądzisz, że to wykluczone?

Foldal. Brak tu wszelkiej podstawy prawnej.

Borkman. Bo zbyticznej dla ludzi wyjątkowych.

Foldal. Ustawa nie zna podobnych uprawnień.

Borkman bezwzględnie. Nie jesteś poetą, mój drogi.

Foldal załamuje mimowoli ręce. Nie żartujesz?

Borkman nie zważając na to. My obaj marnujemy tylko czas wspólnie. Najrozsądniej tedy będzie, byś zaniechał odwiedzin na przyszłość.

Foldal. Każesz mi iść precz!

Borkman j. w. Stajesz mi się zbyticzny.

Foldal łagodnie, zbierając swoje papiery. No dobrze... możliwe.

Borkman. Okłamywałeś mnie tylko przez cały czas.

Foldal potrząsa głową. Nie okłamywałem cię, Janie Gabryelu.

Borkman. Nie wlewałeś we mnie zawsze nadziei i ufności w moją przyszłość?

Foldal. To nie było kłamstwem, póki ty w moje powołanie wierzyłeś. Wierzyłem w ciebie póki, póty ty we mnie.

Borkman. Zwodziliśmy się tedy wzajemnie... i w końcu okłamywali wzajemnie.

Foldal. I czy na tem właśnie nie polega przyjaźń?

Borkman z gorzkim uśmiechem. Zwodzić, oszukiwać — zapewne — to jest przyjaźń. Bardzo słusznie! Doświadczyłem już takiej przyjaźni.

Foldal podnosi nań wzrok. A więc nie mam powołania — na poetę. I powiedziałaś mi to tak niemilosierdzie.

Borkman nieco łagodniej. No... nie jestem przecie znawcą w tej dziedzinie.

Foldal. Jesteś nim więcej jak przypuszczasz.

Borkman. Ja?

Foldal. Tak, ty. Bo, wiedz, we mnie samym rodziły się wątpliwości nieraz. Straszliwe wątpliwości, czy nie zmaruowałem życia — dla blażej uludy.

Borkman. Na kruchej stoisz podstawie, jeśli sam o sobie wątpisz.

Foldal. Dlatego przychodziłem do ciebie — po pociechę, poparcie, bo silną miałeś wolę. Bierze kapelusze. Ale teraz stałeś mi się obcym.

Borkman. I ty dla mnie także.

Foldal. Dobranoc, Janie Gabryelu.

Borkman. Dobranoc, Wilhelmie.

Foldal wychodzi drzwiami na lewo. — Borkman stoi chwilę, wpatrując się w drzwi, zwolna zamykane. W ostatniej chwili robi ruch, jakby chciał zawrócić Foldalą z drogi, po krótkim jednak namyśle rozpoczyna swoją wędrówkę po pokoju. Po niedługim czasie staje przed stołem koło kanapy i gasi lampę. W pokoju panuje nadyś półświatło. — Niedługo potem rozlega się pukanie w małe drzwi, w kacie.

Borkman stojący przy stole, drgnął, i odwróciwszy się, pyta. Kto tam?

Nie słysząc odpowiedzi. Pytanie rozlega się po raz wtóry.

Borkman z lekkim niepokojem. Kto tam?... Proszę!

Ella Renheim staje we drzwiach z płonącą świecą w ręku. Strój ten sam, co w akcie poprzednim, tylko płaszcz narzucony na ramiona.

Borkman wpatruje się w nią. Cóż to za jedna?... Czego sobie pani życzy?!

Ella zamyka za sobą drzwi i podchodzi bliżej. To ja, Borkmanie. Stawia świecę na fortepianie.

Borkman stoi jak piorunem rażony, i wpatrując się w nią szeptem. Czy to — to Ella? To Ella Renheim?!

Ella. Tak. To »twoja« Ella — jak mię kiedyś nazywałeś, kiedyś, przed laty, przed dawnymi laty.

Borkman j. w. Tak, to ty, Ello, — poznaję cię.

Ella. Poznajesz mię?

Borkman. Tak, poznaję cię już teraz dobrze.

Ella. Czas obszedł się ze mną srogo, bezwzględnie... Nie prawdą?

Borkman z wymuszeniem. Zmieniłaś się... nieco. Na pierwszy rzut oka...

Ella. Nie mam już tych ciemnych loków, które spadały mi tak nisko, aż na szyję. Tych loków, w których zanurzałeś tak często palce.

Borkman prędko. Prawda! Widzę to... zmieniłaś sposób czesania włosów.

Ella ze smutnym uśmiechem. Oczywiście — zmieniłam sposób czesania...

Borkman zmieniając rozmowę. Nie wiedziałem nawet, że bawisz w okolicy.

Ella. Przybyłam dopiero niedawno.

Borkman. Teraz? Wśród zimy? Czy zaszło coś nadzwyczajnego?

Ella. Dowiesz się nieza długo.

Borkman. Czy to o mnie chodzi?

Ella. Częściowo i o ciebie. Zanim jednak do tego dojdziemy, cofnę się daleko wstecz.

Borkman. Jesteś zapewne zmęczona.

Ella. Tak, jestem znużona podróżą.

Borkman. Siadajże, tam, na kanapie.

Ella. Dziękuję. Muszę istotnie siąść. Siada w prawym kącie kanapy. Borkman stoi przed stołem, z rękoma w tył założonymi. Po krótkiej przerwie. Dawno już, bardzo dawno, gdyśmy tak stali przed sobą, oko w oko.

Borkman ponuro. Bardzo dawno. Cały szereg okropieństw dzieli nas od tej chwili.

Ella. Całe życie człowieka dzieli nas od tej chwili. Życie chybione, spalone...

Borkman ponuro. Chybione?!

Ella. Tak, chybione i spalone — dla nas obojga.

Borkman chłodnym, urzędowym głosem. Nie uważam jeszcze swego życia za stracone lub chybione.

Ella. A moje życie?

Borkman. Sama jesteś temu winna, Ello!

Ella zrywa się. I to mówisz ty?!

Borkman. Mogłaś być zupełnie szczęśliwą — bezemnie.

Ella. Sądzisz?

Borkman. Gdybyś tylko była chciała.

Ella z goryczą. Wiem — inny czekał mię z rozwartymi ramionami.

Borkman. A tyś go odpychała.

Ella. Przyszyna.

Borkman. Dawałaś mu odprawę po odprawie. Rokrocznie...

Ella z ironią. Rokrocznie odpychałam od siebie szczęście, nieprawda?

Borkman. Mogłaś z nim również być szczęśliwą. I to byłoby mnie ocaliło od upadku.

Ella. Ciebie?

Borkman. Tak. Tobie byłbym zawdzięczał ocalenie.

Ella. Dlaczego — mnie?

Borkman. Sądził, że ja jestem przyczyną jego ciągłych odkoszy i odpraw. I postanowił się zmścić — co było tem łatwiej, że mógł wyzyskać moje zaufanie, te wszystkie listy, w których zwierzałem się przed nim z najszykryszmi tajemnicami. I to starczyło, by mi zgotować najokropniejsze nieszczęście... Widzisz więc, że ty jesteś sprawczynią tego wszystkiego.

Ella. Przesadzasz, Borkmanie, bo, ściśle biorąc, winę należałoby tobie przypisać.

Borkman. To rzecz względna... Nie zapominam jednak, com ci winien. Tyś nabyła podczas publicznej sprzedaży tę dobrą wraz z domem i oddałaś go mnie — i swojej siostrze na usługi — zaopiekowałaś się Erhardem i byłaś mu troskliwą opiekunką...

Ella. ...Póki mi dawano...

Borkman. ...Powiedz: póki ci na to siostra twoja pozwalała. Ja nie wkraczałem w tego rodzaju domowe sprawy. Wiem to dobrze, jakie ponosiłaś ofiary dla mnie i dla twej siostry. Bo też miałaś możliwość. I nie zapominaj, że możliwości tej ja ci udzieliłem!

Ella dotknięta. Grubo się mylisz, Janie! Moje gorące uczucie, moje przywiązanie do Erharda i — do ciebie — oto, co mię do tego popchnęło.

Borkman przerywając jej. Moja droga, o uczuciach

i tym podobnych rzeczach wolę nie mówić. Ale chciałem na jedno zwrócić twoją uwagę. Jeśli mogłaś postąpić tak, jak postąpiłaś, to mnie zawdzięczasz tę możliwość.

Ella z uśmiechem. Hm... możliwość... możliwość, powiadasz...

Borkman z zapalem. Tak, możliwość! Gdy znalazłem się w przededniu rozstrzygającej, walnej bitwy, gdy musiałem pominąć wszelkie względy na węży krwi lub przyjaźni, gdy musiałem naruszyć miliony, które mi powierzono — wówczas nie tknąłem nic, co się twoim nazywało — nic, nawet grosza, mimo że i tem mogłem dowolnie rozporządzić jak wszystkim innem.

Ella chłodno i spokojnie. Masz słuszność.

Borkman Oczywiście... I dlatego, gdy przyszli, by mnie uprowadzić, znaleziono twój cały dobytek w kasie.

Ella wpatrując się weń. Myślałam o tem często.. Dlaczego zachowałeś wszystko, co do mnie należało?... I wyłącznie to, co moje?

Borkman. Dlaczego?

Ella. Tak. Dlaczego?

Borkman złośliwie. Przypuszczasz może, że chciałem coś mieć w zapasie, na wypadek, gdyby mi się noga powinęła?

Ella. Także!... Wtedy z pewnością o tem nie myślałeś.

Borkman. Nigdy. Byłem zwycięstwa zupełnie pewien! Najpewniejszy w świecie!

Ella. Skądże miałeś tę pewność?

Borkman podnosi ramiona. Mój Boże — to nie łatwo przywieść na pamięć myśli, które się żywiło przed kilkunasty lata. Wiem tylko tyle, że gdy w samotności rozmyślał o swoich niesłychanych przedsięwzięciach, które miałem wskrzesić, budziło się we mnie wrażenie, jakoby po powietrzu żeglował.

A w nocy, gdy w nocie trawił na rojeniu, zdawało mi się, jakbym stał u łódki olbrzymiego balonu i odbywał podróż przez niebezpiecznie, nieogarnięte morze świata.

Ella uśmiecha się. I mimoto nie wątpiłeś o zwycięstwie?

Borkman niecierpliwie. Nie znasz ludzi, Ello. Oni umieją równocześnie w coś wierzyć i wątpić. Jakby do siebie. I to było przyczyną, dla której nie chciałem się obarczać twojem mieniem.

Ella zaciekawiona. Dlaczego? Powiedz!

Borkman nie patrząc na nią. Nie zabiera się ze sobą nigdy na pokład niepewnego statku tego, co — jest najdroższem.

Ella. Zabrałeś przecie ze sobą największy swój skarb: swoją całą przyszłość.

Borkman. Życie nie zawsze bywa największym skarbem.

Ella zaskoczona. Miałeś już w ów czas tę świadomość?

Borkman. Mam ją.

Ella. Że ja byłam ci największym skarbem?

Borkman. Mam takie wrażenie.

Ella. A jednak miały dui i lata, a ty o mnie nie pamiętałeś i... i ożeniłeś się z inną.

Borkman. Nie pamiętałem o tobie, powiadasz?! Wiesz chyba dobrze, że uległem wówczas innym względom. Bez jego poparcia nie mogłem myśleć o urzeczywistnieniu mych planów.

Ella z trudem. Wyrzekłeś się tedy mnie — dla »innych« względów.

Borkman. Jego pomoc była mi niezbędna. A ceną, jaką za to nałożył, byłaś właśnie ty.

Ella. I przystałeś na cenę. Nawet bez targu. Wyplaciłeś ją sumiennie.

Borkman. Nie miałem wyboru. Musiałem zwyciężyć lub zginąć.

Ella drżącym głosem. Czy to prawda, coś mówił: że byłą ci wówczas najdroższym skarbem świata.

Borkman. Byłaś nim wówczas... i jeszcze długo potem.

Elła. I mimo to wystawiłeś mię na targowisko... Kupczyłeś prawem swej miłości z innym. Sprzedałeś moją miłość — za stanowisko dyrektora banku.

Borkman ponuro, ze spuszczoną głową. To była twarda, nieodparta konieczność, Ello.

Elła wstaje z kanapy i mówi drżącym ze wzruszenia głosem. Zbrodniarzu!

Borkman porywa się, po chwili jednak opanowuje. Słyszałem już raz — to słowo.

Elła. Nie sądz, że mi chodzi o twoje przestępstwo — wobec prawa, lub o to, w coś obrócił zaufanie drugich — to wierza mi, jest mi zupełnie obojętne. Gdybym tylko była stała u boku twego wtedy, gdy się wszystko pod tobą zapadło...

Borkman zaintrygowany. Cóż wtedy?

Elła. Wierza mi, byłabym chętnie wzięła na siebie część ciężaru... Byłabym się chętnie podzieliła z tobą wstydem i winą i... wszystkim.

Borkman. Miałabyś tyle woli i siły?...

Elła. I wolę i siłę. Bo wówczas nie znałam jeszcze twojej wielkiej, okropnej zbrodni...

Borkman. Jakiej zbrodni? O czym mówisz?

Elła. O zbrodni — dla której niema przebaczenia.

Borkman patrzy na nią. Mówisz jak nieprzytomna.

Elła zbliża się doń. Jesteś mordercą! Popełniłeś wielki grzech śmiertelny!

Borkman cofa się ku fortepianowi. Szalejesz, Ello!

Elła. Zabiłeś we mnie życie miłości. Zbliża się do niego coraz bardziej. A wiesz, co to znaczy? Biblia wspomina o tajemniczym, śmiertelnym grzechu, dla którego niema przebaczenia. Teraz zrozumiałam. Tym wielkim śmiertelnym grzechem — to właśnie zabójstwo miłości, miłości-życia.

Borkman. I mnie przypisujesz ten grzech?

Elła. Boś jest winien! Nie miałam właściwie nigdy jasnej świadomości tego, co mię spotkało — do dziś. Żeś mnie porzucił, aby osiąść Gunhildę — uważałam to tylko za niestałość z twej strony i... za wynik jej bezecznych intryg. I wówczas — mimo to — gardziłam już tobą, choć trochę. Ale teraz dopiero przejrzałam! Wyrzekłeś się kobiety, którą kochałeś! Mnie, mnie! Największy swój skarb byłęś gotów poświęcić — dla zysku. To zbrodnia dwukrotna, bo wyrządzono własnej i — mojej duszy!

Borkman chłodno, pannyjąc nad sobą. Poznaję cię! Z twoim płomiennem, nieokielznanem usposobieniem! Na sprawę całą zapatrujesz się jak kapryśny dzieciak. Jesteś przecie kobietą! I dlatego wszystkie względy pomijasz, nie liczysz się z niczem.

Elła. Oczywiście. Nie wypieram się.

Borkman. Wysuwasz na czoło, uznajesz tylko jedno — sprawę swego serca, swoją miłość.

Elła. Tak! tak! Tylko i wyłącznie to!

Borkman. Nie zapominał wszakże, że ja jestem mężczyzną. Jako kobieta byłaś mi wszystkim na świecie. A na wypadek konieczności, może jedna kobieta być zastąpiona drugą...

Elła uśmiecha się. Czy małżeństwo z Gunhildą przyniosło cię do tego wniosku?

Borkman. Nie. Ale zniósłem i to, wpatrzony w mą przyszłość: Wszelką władzę tego kraju chciałem przejąć na siebie. Wszystkie bogactwa i skarby, jakie kryją w swym łonie lasy i góry, łąd i morze, chciałem im wydrzeć, wszystko chciałem skupić w swoim ręku, by mocą mojej władzy zapewnić dobrobyt tysiącom, setkom tysięcy moich współobywateli.

Elła pograżona w wspomnienia. Wiem... Nie jeden wieczór upłynął nam na rojeniu o tych zamysłach...

Borkman. Tak, bo z tobą można było o tem mówić.

Elła. Żartowałam nieraz z twoich planów i pytałam, czy chcesz wskrzesić drżące złota duchy.

Borkman potakuje. Pamiętam ten zwrot. Powoli. »Drze-
miące złota duchy.«

Ella. Tyś się jednak nie godził na żart, Janie.
Brałeś to zupełnie poważnie.

Borkman. Zupełnie poważnie... A wszystko zależało
od pierwszego kroku... A bez niego to było nie-
podobieństwem. On mógł i chciał mi wyjednać sta-
nowisko dyrektora banku — jeśli w zamian za to...

Ella. Jeśli w zamian za to — wyrzekniesz się ko-
biety, którą kochałeś — i która ciebie bez pamięci
kochała.

Borkman. Widziałem, jak namiętnic, szalenie cię
kochał. Było aż nadto pewnem, że żaden inny wa-
runek nie zdoła...

Ella. I przyjąłeś!

Borkman z uniesieniem. Tak! Żądza władzy parla-
mie naprzód — nieposkromiona. I przyjąłem ten
warunek, bo musiałem. I wówczas utorowałem mi
częściowo drogę ku tym zawrotnym wysokościom,
które mię ku sobie wabiły. I kroczyłem wciąż na-
przód. Każdy dzień zastawał mię coraz wyżej...

Ella. A ja przestałam istnieć dla ciebie, Janie.

Borkman. I on też zepchnął mię w przepaść.
Z twego powodu, Ello!

Ella po chwilowym namyśle. Janie — nie pomyślałeś
nigdy o tem, że nad naszym całym stosunkiem za-
wisła jakowaś klątwa.

Borkman patrzy na nią. Klątwa?

Ella. Tak. Nie jesteście tak?

Borkman niespokojnie. Możliwie... Ale dlaczego wła-
śnie... Wzburzony. Ello — ja już doprawdy nie wiem —
kto z nas dwojga ma słuszość!

Ella. Tyś jest sprawcą złego! Tyś uśmiercił we
mnie wszelkie szczęście!

Borkman z trwogą. Nie powtarzaj tego!

Ella. Zabijeś we mnie szczęście kobiety. Od chwili,

gdy twój obraz zaczął się we mnie zacierać, życie
moje wlokło się bez cienia nadziei i światła. Te
lata były dla mnie pożogą... Kropla po kropli wy-
sychała we mnie miłość do ludzi, do wszystkich
istot żyjących. Nie znałam, co to miłość do czło-
wieka, ni zwierzęcia, ni rośliny. Wyjątek stanowił
tylko jeden...

Borkman. A to?...

Ella. Erhard — rzecz jasna.

Borkman. Erhard?...

Ella. Erhard — syn twój, Janie.

Borkman. Był ci doprawdy tak drogi?

Ella. Dlaczegoż — sądzisz — zająłam się nim?
Dlaczego strzegłam go jak oka w głowie, póki mi
go nie odjęto? Dyscygo?

Borkman. Przypisywałem to twojej litości, jak zre-
szta wszystko inne.

Ella oburzona. O litości mówisz! Nie znałam co to
litość od chwili, gdy mną wzgardziłeś. Nie mogłam
się zdobyć na litość. Gdy się biedne, zgłodniałe,
zżębniete dziecko nędzarza zjawiało u mnie z wycią-
gniętą ręką, odsyłałam je do kuchni, by służba je
zaopatrzyła. Nigdy nie budziła się we mnie chęć,
by dziecko przywołać do siebie, by je ogrzać przy
własnym ognisku i podzielić jego radość ze wsparcia.
A jednak byłam kiedyś inną. Uczucia innych mu-
siałam w siebie wchłaniać i żyć ich życiem. I znowu
tyś winien, że znalazłam się sama wśród puszczy
i głuszy!

Borkman. Wyjątkowe prawa posiadał — Erhard.

Ella. Tak — Erhard, twój syn. Poza nim nie ko-
chałam nic. Tyś mię wywłaszczył z uczuć i radości
matki, z jej łez i trosk. I to może było dla mnie
najdotkliwszą stratą.

Borkman. Tak sądzisz?

Ella. Kto wie? Łzy i troski matki byłyby mi może zapchnięły życie, stały się zwolna jego treścią. Ale wówczas trudno mi było rozumować, patrzeć w przyszłość. I dlatego pomyślałam o Erhardzie. Zdobywałam sobie stopniowo jego serce, jego biedne, bezdomne serce do chwili...

Borkman. Do której chwili?

Ella. Do chwili — gdy jego matka — rodzona matka — chciałam powiedzieć, nie odebrała mi go znów.

Borkman. Musiał cię opuścić. Musiał wracać do miasta.

Ella załamuje ręce. Ale tej samotności już nie zniosę! Ani tej pustki, ani utraty serca twego syna!

Borkman z nienawistnym wyrazem oczu. Hm... nie straciłaś go z pewnością! Bo tu trudno stracić czyjeś serce — na rzecz tych ludzi, na dole.

Ella. Straciłam tu Erharda. I ona mi go odebrała. Wyczytałam to z jego listów, które od czasu do czasu do mnie pisywał.

Borkman. Przybywasz tedy, by go odbrać?

Ella. Tak, jeśli to będzie możliwe.

Borkman. Możliwe będzie, jeśli wyteżysz wolę. Bo ty masz największe i najstarsze prawo do niego.

Ella. Ach, prawo, prawo! Co tu prawo znaczy? Jeśli do mnie nie wróci z własnego popędu, to go nie posiędę. A posiąć go muszę. Muszę bez ograniczeń posiąć serce mego dziecka!

Borkman. Nie zapominaj, że Erhard przekroczył już dwudziesty rok. Wnet nie będziesz na to mogła liczyć, by jego serce niepodzielnie posiąć.

Ella ze smutnym uśmiechem. Nie liczę na długo...

Borkman. Nie? Przypuszczałam, że chcesz go pozyskać na całe życie.

Ella. Oczywiście, ale to niedługo potrwa.

Borkman dotknięty. Co pod tem rozumiesz?

Ella. Wiesz zapewne, że choruję prawie bezustannie od dłuższego czasu?

Borkman. Doprawdy?

Ella. Nie wiedziałeś o tem?

Borkman. Nie, właściwie nie...

Ella patrzy nań zdziwiona. Nie opowiadał ci Erhard?

Borkman. Nie mogę sobie przypomnieć...

Ella. Nie mówił może wogóle z tobą o mnie?

Borkman. Owszem, owszem, mówił. Zresztą widuję go tak rzadko, prawie nigdy. Tu na dole jest ktoś, co go trzyma zdala ode mnie.

Ella. Wiesz z pewnością o tem?

Borkman. Wiem, wiem... Zmienionym głosem. Chorowałaś tedy, Ello?

Ella. Tak. I ostatniej jesieni choroba tak się wzmogła, że musiała zasięgnąć porady doświadczonych lekarzy.

Borkman. I uczyniłaś już to?

Ella. Dziś rano.

Borkman. I co ci powiedzieli?

Ella. Usłyszałam z ich ust potwierdzenie tego, co przypuszczałam od dawna...

Borkman. Mianowicie?

Ella spokojnie, bez wzruszenia. Choroba moja zalicza się do śmiertelnych, Janie.

Borkman. Nie wierzę w to, Ello!

Ella. Na tego rodzaju choroby nie ma lekarstwa, ni pomocy. Lekarze wobec niej są bezradni, muszą ją pozostawić samej sobie; wstrzymać biegu nie potrafią. Mogą tylko przyczynić się do jej ulżenia, choć w nieznacznym stopniu. A i to jest szczęściem.

Borkman. Możesz jeszcze mimo to żyć długie lata.

Ella. Mogę jeszcze przeżyć zimę — jak mi powiedziano.

Borkman zupełnie bez zastanowienia. Hm... zima jest dość długa.

Ella. Dla mnie jest aż nazbyt długa.

Borkman żywo przecząc. Ale skądże, na Boga, wzięła się ta choroba? Prowadziłaś przecie spokojne, regularne życie!... Skąd mogła się wziąć ta choroba?

Ella patrząc na nią. Lekarze przypuszczają, że jest to następstwo jakiegoś wielkiego wstrząśnienia duchowego.

Borkman porywa się. Wstrząśnienia duchowego?! Rozumiem!! Więc znowu moja wina!

Ella z rosnącym wzburzeniem. Dziś trudno na to odpowiedzieć! Ale muszę wpięrow odzyskać jego serce, zanim zejdę z widowni. Bo to ogromnie bolesna dla mnie myśl, rozstawać się ze wszystkim, co tu żyje, rozstawać się ze słońcem, powietrzem i światłem, nie zostawiając tu nikogo, coby mnie zachował w pamięci, towarzyszył mi wspomnieniem ciepłem i żywem — jak syn ściga pamięć matki tęsknie i żałośnie.

Borkman po krótkiej przerwie. Bierz go, Ello, jeśli go zdołasz zdobyć.

Ella żywo. Przyzwalasz. Czy możesz przyzwolić?

Borkman ponuro. Owszem. I nie myśl, że to zbyt wielka ofiara. Bo i tak prawie go nie posiadam.

Ella. Mimo to jednak dziękuję ci serdecznie za nią! Jeszcze jedną mam prośbę do ciebie. Dla mnie pierwszorzędnej wagi.

Borkman. Słucham.

Ella. Wyda ci się to może dzieciństwem — nie zdołasz mię może zrozumieć...

Borkman. Mów śmiało.

Ella. Po mojej śmierci, a długo na nią czekać nie będę, pozostanie dość znaczny majątek...

Borkman. Wyobrażam sobie.

Ella. I mam zamiar uczynić jego jedynym spadkobiercą Erharda.

Borkman. Nie masz też nikogo bliższego od niego.

Ella z nieznoją. Bliższego istotnie nie mam nikogo.

Borkman. Nie masz nikogo zresztą ze swojej rodziny. Jesteś ostatnią jej latoroślą.

Ella potakuje powoli. Oto mi właśnie chodzi. Ze mną mną zejdzie do grobu także nazwisko Rentheimów. Myśl to dla mnie ogromnie dręcząca. Czeka mnie bliska śmierć moja i — mego imienia.

Borkman porywa się. A!... Widzę już, do czego zmierzasz!

Ella błagająco. Zgódź się na to! Niech Erhard po mojej śmierci nosi moje nazwisko!

Borkman ostro. Rozumiem cię: chcesz syna mego uwolnić od tego, by nosił jedno ze mną nazwisko. O to ci chodzi.

Ella. Przenigdy! Ja sama byłabym je chętnie i śmiało z tobą dzieliła! Ale skoro stoję u wrót śmierci... Nazwisko bywa nieraz silniejszym węzłem, jak przypuszczasz, Janie.

Borkman chłodnym, pełnym dumy głosem. Nie mam nic przeciw temu. Starczę sam dla nazwiska.

Ella chwytając go za rękę i ścisnąc ją. Dzięki ci, dzięki! Rachunki nasze już się wyrównały! Przywróciłeś mi to, co przywrócić mogłeś! Bo gdy ja umrę, przeżyje mię Erhard Rentheim!

Małe drzwi w kącie się otwierają. W otwartych drzwiach staje pani Borkman w wielkiej chustce, narzuconej na głowie.

Pani Borkman pełnym grozy głosem. Erhard nigdy tak nazywać się nie będzie!!

Ella cofa się gwałtownie wstecz. Gunhildo!

Borkman surowym, groźnym głosem. Nikt nie ma prawa przekraczania mego progu!

Pani Borkman robi krok naprzód. Ja je sobie przypuszczam.

Borkman staje przed nią. Czego chcesz ode mnie?

Pani Borkman. Chcę walczyć w twojej obronie. Chcę cię bronić od złych mocy.

Ella. Najgorsze moce są w tobie samej, Gunhildo!

Pani Borkman groźnie. O tem nie mówię! Z wzniesioną ręką. Zapowiadam wam jedno: on będzie swego ojca imię nosił! Będzie je nosił z dumą, by mu przywrócić utraconą cześć! I ja mu będę matką! Ja sama! Do mnie jego serce należeć będzie, a nie do obcej. Odechodzi temi samymi drzwiami.

Ella pełna niepokoju i współczucia. Janie, — Erhard nie ostoi się wśród tych burz. Musi dojść do jakowegoś porozumienia między tobą a Gunhildą. Chodźmy zaraz do niej!

Borkman patrzy na nią. My? Czy masz mnie także na myśli?

Ella. Nas oboje.

Borkman potrząsa głową. Ona jest nieugięta. Twarda jak ten spiż, który chciałem wydrzeć ziemi.

Ella. Może teraz nam się to uda!

Borkman stoi niepewny, nie odpowiadając.

AKT III.

Pokój pani Borkman — jak w akcie I-szym. Lampa płonie jeszcze wciąż na stole przed kanapą. — **Pani Borkman** wchodzi wzburzona do pokoju, w chustce narzuconej na głowę, podchodzi do okna, ściga cokolwiek firanki, zbliża się następnie do pieca i siada. Po chwili jednak porwuje się i dzwoni. Stoi przy kanapie i czeka. Zniecierpliwiona dzwoni powtórnie, tym razem silniej. Z przedpokoju wchodzi służąca z niezadowoloną, rozespaną twarzą. Niedbale narzucone suknie świadczą o tem, że porwała się ze snu.

Pani Borkman zniecierpliwiona. Gdzieś była u licha? Dzwoniłam już dwa razy!

Służąca. Słyszałam, proszę pani.

Pani Borkman. I mimo to nie raczyłaś przyjść.

Służąca pomrukując. Musiałam się choć trochę przyodziać.

Pani Borkman. Ubierzże się porządnie i pobiegnij mi po panicza.

Służąca zdumiona. Po panicza mam biegać?

Pani Borkman. Tak. Powiesz mu, żeby zaraz przyszedł, w pilnej sprawie.

Służąca niezadowolona. W takim razie będzie najlepiej zbudzić stangreta.

Pani Borkman. Po co?

Służąca. Aby zaprzągnął sanie. W takim piekielnym powietrzu...

Pani Borkman. To nie! Tylko nie trać darmo czasu. To przecie zaraz na rogu.

Służąca. Tak blisko znowu nie — jasnie pani.

Pani Borkman. Głupias! Nie wiesz gdzie willa adwokata Hinkla?

Służąca uspokojona. To tam jest dziś nasz panicz...

Pani Borkman dotknięta. A gdzieżby miał być?...

Służąca uśmiecha się. Myślałam, że jest tam gdzie zwykle.

Pani Borkman. Gdzież to?

Służąca. U pani Wilton, czy jak jej tam.

Pani Borkman. U pani Wilton? U niej tak często nie bywał mój syn.

Służąca mrukliwym głosem. Słyszałam od ludzi, że niema dnia, w którymby tam nie chodził.

Pani Borkman. To bezmyślne plotki. moja droga. A teraz skocz do Hinkla i postaraj się z nim zobaczyć.

Służąca gotując się do wyjścia. Mój Boże — idę już.

Zbliża się do drzwi, by wyjść, gdy nagle otwierają się z zewnątrz i na progu stają Ella Renthelm i Borkman.

Pani Borkman cofa się w tył. Co to ma znaczyć?!

Służąca przerażona, zatamuje mimowoli ręce. Jezus Marya!

Pani Borkman szeptem do służącej. Powiedz mu, by natychmiast przyszedł!

Służąca cicho. Dobrze, proszę pani.

Ella i za nią Borkman wchodzi do pokoju. — Służąca wymyka się ostrożnie i zamyka za sobą drzwi. — Krótka przerwa.

Pani Borkman odzyskawszy równowagę, zwraca się po Elli. Czego on tu chce?

Ella. »On« chce dojść z tobą do jakiejs ugody.

Pani Borkman. Nie czynił jeszcze nigdy kroków do tego.

Ella. Więc poczyni je teraz.

Pani Borkman. Ostatni raz staliśmy oko w oko — przed sądem. Gdy byłam słuchana...

Borkman zbliża się. A dziś ja chcę być słuchanym!

Pani Borkman patrzac nań. Ty?!

Borkman. Nie w sprawie mych przekroczeń. Bo te zna świat cały.

Pani Borkman z bolesnem westchnieniem. Aż nazbyt prawdziwie! Cały świat je zna!

Borkman. Ale świat nie zna, co mię sprowadziło na tę drogę. Dlaczego musiałem na nią zejść. Ludzie nie pojmują, że działałem pod naporem konieczności, że byłem zniewolonym do tego — bo jestem Janem Gabrielem Borkmanem, a nie — kim innym. Przychodzę teraz do ciebie — z wyjaśnieniem.

Pani Borkman potrząsa głową. To darmo. Popędy, ani żądze nie usprawiedliwiają człowieka.

Borkman. Ale mogą go usprawiedliwić przed własnym sumieniem.

Pani Borkman z gestem zniecierpliwienia. Dajże spokój! Straciłam aż za dużo czasu na roztrząsanie w myśli tych sprawek.

Borkman. Czyniłem to również — w ciągu tych pięciu długich lat w celi i — potem. Tych ośm lat, spędzonych na górze także na to obróciłem. Rozważyłem cały wypadek na nowo, badałem sam w sobie najdrobniejsze szczegóły. Byłem sam sobie oskarżycielem, obrońcą i sędzią. A byłem może bezstronniejszy, niżeli ludzie obcy; mogę to o sobie powiedzieć. Chodziłem tam na górę i troskliwie rozbieierałem najdrobniejszą swą czynność, krok każdy. Nie szczeniłem sobie żadnego zarzutu, wszystko badałem sumiennie jak najsurowszy sędzia śledczy. I wyrok,

który wypowiedziałem brzmi nieodmiennie: jestem przestępcą — ale tylko wobec siebie.

Pani Borkman. A wobec mnie? A wobec syna twego?

Borkman. To samo dotyczy się i was. Mówiąc o sobie, nie wykluczam was.

Pani Borkman. A owe setki innych, które — miałeś — przywieść do upadku.

Borkman uniesiony. Miałem od tego władzę! A ten nieoparty nakaz z mojego wnętrza! Tu leżały więzione miliony pod skorupą ziemi. One mię wołały ku sobie — wołały o wyzwolenie! Nikt nie mógł pojąć tego krzyku — krom mnie.

Pani Borkman. Tak — ale na wstyd i hańbę własnego imienia.

Borkman. Radbym tylko wiedzieć, czy inni, gdyby im była dana taka moc jak mnie, byłiby inaczej postąpili.

Pani Borkman. Niktby nie był tak postąpił.

Borkman. Może... Ale jedynie tylko, bo nie stałoby ich było na moje zdolności. I gdyby mimo ich brak, na podobną śmiałość się odważyli, nie byłiby mieli moich celów przed oczyma. Ich czyny byłyby wówczas zgola czem innym. — Krótko mówiąc — rozgrzeszyłem się sam.

Ella miękkiem, proszącym głosem. Mówisz to ze spokojnem sumieniem, Janie?

Borkman potakuje. Uniewinniłem się pod tym względem. Ale teraz wysłuchacie wielkiego, palącego jak kropla rozpalonego ołowiu — samo-oskarżenia.

Pani Borkman. A ono brzmi?

Borkman. Od ośmiu lat tłułem się beczynnio po pokoju i strwoniłem tyle niepowetowanego czasu. Jeszcze tego samego dnia, w którym mię wypuścili, winienem był rozpocząć twardy bój z rzeczywistością, twardy jak stal i pozbawiony marzeń. Winienem był zacząć od podstaw i powoli wykuwać sobie przy-

szłość górnieszją i świetniejszą nad przeszłość — na przekór wszystkim i wszystkiemu.

Pani Borkman. Wierzaj mi, byłbyś wrócił na dawne tory.

Borkman potrząsa głową i mówi tonem nauczania. Niema nic bezwzględnie nowego, ale też tego, co należy do przeszłości, nie wskrzesi teraźniejszość. Pojęcie zmiany zawdzięczamy tylko oku; ono widzi zmiany tam, gdzie wszelka zmiana jest wykluczona. Przerywając. Ale ty tego nie zrozumiesz.

Pani Borkman krótko. Nie; to nad moje siły.

Borkman. Otóż w tem właśnie kłątwa, że mię nigdy nikt nie rozumiał.

Ella patrzy nań. Nikt, Janie?

Borkman. Może jedną wyłaczywszy. Ale to było dawno, bardzo dawno, w porze, gdy mi się zdawało, że mi zrozumienia nie potrzeba. Potem nie znalazłem już nikogo! Nikogo, coby nademną czuwał, coby gotów był mię nawoływać do czynu i przydzwaniać mi srebrnym głosem porannego dzwonu, zagrzewającego do mozołu... Nie znalazłem nikogo, coby mię przestrzegał przed tem, co mię może przywieść do zguby.

Pani Borkman śmieje się z ironią. To ci mieli inni wpajać?

Borkman pieniądze się od złości. Tak! Gdy mię cały świat ogłusza krzykiem potępienia, piętnując mię jako bezpowrotnie zgubionego, wówczas nie trudno o chwilę, w której sam jestem już skłonnny do uwierzenia w to. Podnosi głowę. Ale wnet potem występuje do zwycięskich zapasów z jadem nienawiści obcych moje zwycięskie sumienie i przywraca mi świadomość braku winy.

Pani Borkman patrzy nań twardo. Dlaczegoż nie przychodziłeś nigdy do mnie, by szukać tego, co zwiesz zrozumieniem?

Borkman. Czy byłabyś się starała nawet o zrozumienie mię?

Pani Borkman z ruchem zniecierpliwienia. Nie to... Tyś zawsze kochał tylko siebie — w tem sęk.

Borkman z dumą. Ukochałem moc!

Pani Borkman. A tak... moc..

Borkman. ...Moc siania szczęścia wokół siebie!

Pani Borkman. Miałeś ongi moc uczynienia mnie szczęśliwą; czyś jej ku temu użył?

Borkman nie patrząc na nią. Ofiary muszą być — przy każdej wielkiej sprawie.

Pani Borkman. A syn twój własny. Czyś obracał swą moc na to, czyś żył i oddychał po to, aby jego uczynić szczęśliwym?

Borkman. Nie znam go.

Pani Borkman. Prawda! Nie znasz go.

Borkman z nienawiścią. To twoje dzieło.

Pani Borkman patrzy nań i mówi tonem wyższości. O, ty! Ty dzieła mego nie znasz!

Borkman. Twego?

Pani Borkman. Tak, mego. Dzieła mych lat.

Borkman. Mianowicie?

Pani Borkman. Pracowałam dla twojej pamięci.

Borkman z krótkim, suchym uśmiechem. Dla mojej pamięci?! Patrzajcie! To tak brzmi, jakbym już był nieboszczykiem.

Pani Borkman z naciskiem. Jesteś nim też.

Borkman powoli. Może masz i słuszność. Z nagłą żywością. Nie! Nie! Byłem blizkim tego, ale teraz ocknąłem się, nabrałem ufnosci. Przedemną leży jeszcze długi szmat życia. Widzę to nowe, świetne życie, co mię nęci i woła. — I ty je jeszcze ujrzeć możesz!

Pani Borkman z wzniesioną ręką. Ty nie śnij o nowem życiu! Siedź spokojnie tu, jeśli ci dają!

Ella oburzona. Gunhildo! Jak można tak!...

Pani Borkman nie zważając na jej słowa. Chcę ci wzniesć już pomnik na grobie.

Borkman. Pomnik niesławy zapewne?

Pani Borkman coraz zapaleczywiej. Nie sądz, że to będzie pomnik z marmuru lub spiżu! Nikt nie będzie mógł na pomniku, który ja stawiać będę, umieszczać jakichś drwiących napisów. To będzie jak płot, jak ogrodzenie z drzew i krzaków, gęsto zarastające twój był zagrobowy. Wszystko, co kiedyś było ciemne, zniknie wśród gęstwiny, wszystko pokryje cień zapomnienia!

Borkman ochrypłym z rozdrażnienia głosem. Takie więc mi wznosisz dzieło miłości?

Pani Borkman. Nie własnymi siłami. Nie mogę nawet o tem myśleć. Przybrałam sobie pomocnika, co na to obróci swe życie. On będzie wiodł życie wśród blasku i promieni, czyste, nieskalane i górne — tak, że w jego przepychu ty się unicestwisz, znikniesz z pamięci ludzi.

Borkman ponuro i groźnie. Jeśli to Erhard, to nie ukrywaj!

Pani Borkman patrzy mu nienstraszenie w oczy. Tak, to on! Syn mój, którego się chcesz wyrzec — dla odkupienia własnych grzechów.

Borkman ze spojrzeniem na Ellę zwróconem. Dla odkupienia mego najcięższego grzechu.

Pani Borkman z goryczą. Grzechu, którego się dopuściłeś względem obcej. Pomyśl na to, coś mnie wyrządził! Patrzy na oboje triumfującym wzrokiem. Ale on was nie usłucha! Gdy nań zawołam o pomoc, nie będzie się ociągał! Bo jego miejsce przy mnie, przy mnie tylko... Przerzywa, nastuchując, potem woła. Słyszę jego kroki! Jest już! Idzie!... Erhardzie!

Erhard Borkman otwiera gwałtownie drzwi wchodowe i staje na progu w zarzutce i kapeluszu.

Erhard blady i strwożony. Mamol... Na miłość boską!... Spoznaje Borkmana, który stoi przy przeciwnych drzwiach, nieusza się i zdejmując kapelusz. Po chwili milczenia idzie bliżej. Co się stało, mamol? Czegoś mię wzywała?

Pani Borkman wyciąga doń ramiona. Chciałam cię zobaczyć, Erhardzie! Zostań przy mnie — na zawsze!

Erhard jakając się. U ciebie? Na zawsze?... Nie rozumiem...

Pani Borkman. Chcę cię mieć tu, tu przy sobie! Bo mi cię chcą odebrać!

Erhard cofa się uderzony wstecz. Al... Wiesz więc już!

Pani Borkman. Oczywiście. I ty także o tem wiesz?

Erhard zdumiewa się. Czy ja także?... To przecie jasne...

Pani Borkman. Ach, więc intryga ułożona za moimi plecyma! Erhardzie! Erhardzie!

Erhard prędko. Mamol, powiedz mi, co ty wiesz?

Pani Borkman. Wiem wszystko. Wiem, że twoja ciotka tu przybyła, aby mi cię odebrać.

Erhard. Ciotka Ella?!

Ella. Wysłuchaj najpierw mnie!

Pani Borkman ciągnąc dalej. Chce, bym cię jej odstąpiła. Chce ci być matką, a ty masz być jej synem. Cały majątek ci zapisze, byś odrzucił własne nazwisko, a przybrał jej!

Erhard. Ciociu, czy to prawda?

Ella. Tak — to prawda.

Erhard. Nie miałem o tem wszystkim pojęcia. Dlaczego chcesz mię znowu do siebie zabrać?

Ella. Bo czuję, że cię tu tracę.

Pani Borkman. Przeze mnie go tracisz — to rzecz zupełnie naturalna.

Ella patrzy nań prosząco. Erhardzie, nie opuszczaj mnie teraz! Jestem samotna, umierająca kobieta.

Erhard. Umierająca?...
Ella. Tak — bliska śmierci. Zostańże przy mnie do końca. Przytul się do mnie i bądź mi kochającym dzieckiem.

Pani Borkman przerywając jej. A matką własną wżgar-

dzisz? A swego zadania życiowego zaniechasz? Namysł się, Erhardzie!

Ella. Nade mną zawisł blizki wyrok śmierci — odpowiedz mnie!

Erhard pełen wzruszenia. Ciociu — tyś była dla mnie niewypowiedzianie dobra. Spędziłem pod twym dachem tak pełne błogiego, niezamąconego szczęścia chwile, że mógłby mi ich najszcześniejszy pozazdrościć...

Pani Borkman. Erhardzie! Erhardzie!

Ella. Co to za rozkosz słyszeć twoje słowa!

Erhard. ...Ale teraz nie mogę tobie się poświęcić, to niepodobieństwo. Nie mogę synem ci być i na to obrócić swe życie...

Pani Borkman z tryumfem. Wiedziałam o tem! Nie dostaniesz go, nie dostaniesz, Elio!

Ella przybita. Widzę to — niestety. Zdobyłaś go niepowrotnie.

Pani Borkman. Tak! Tak! Moim jest i moim zostanie! Erhardzie! — nieprawdaż, że jeszcze dobry kawał drogi razem odbywać będziemy?

Erhard we walece ze sobą. Mam... wolę już dłużej nie tać.

Pani Borkman zaniepokojona. Cóż?...

Erhard. Kawał drogi, który wspólnie odbywać będziemy, nie będzie zbyt długi...

Pani Borkman stoi jak piorunem rażona. Co to ma... znaczyć?...

Erhard opanowuje się powoli. Mam... ja jestem młody! Moje płuca nie znoszą ciężkiego powietrza tych pokoi...

Pani Borkman. Tu? U mnie?!

Erhard. Tak — u ciebie, mam!

Ella. Chodź ze mną, Erhardzie!

Erhard. Ach, ciociu, i u ciebie nie lepiej. U ciebie jest może inaczej, ale nie lepiej, nie lepiej dla

mnie. I tu i tam mdły zapach róż i lewkonii. I tu i tam piwniczna atmosfera!

Pani Borkman wstrząśnięta do głębi, sili się na spokój. U twojej własnej matki — piwniczna atmosfera?!

Erhard z rosnącą niecierpliwością. Nie umiem tego inaczej nazwać. Ta chorobliwa pieczołowitość i to — ubóstwanie — czy czem to w końcu jest... Tego znieść nie mogę!

Pani Borkman mierzy go pełnym powagi spojrzeniem. Zapominasz o zadaniu, które los na twoje barki nałożył, Erhardzie?

Erhard z wybuchem. Powiedz raczej: któreś ty na moje barki nałożyła! Boś ty mi narzucała swoją wolę; własnej mieć nie mogłem! Ale dłużej już jarama dźwigać nie mogę! Jestem młody! Licz się z tem, mam! Pełnym przesadnej grzeczności i wyrozumiałości ruchem wskazuje na Borkmana. Nie mogę poświęcać życia na to, by pokutować za grzechy innych — bez względu na to, czem są dla mnie.

Pani Borkman pełna trwożnych przeczuć. Kto na ciebie tak wpłynął, Erhardzie?!

Erhard dotknięty. Kto?... Czy nie mogłem sam do tego dojść?

Pani Borkman. Nie! Nie! Uległeś obcym wpływom. Twoja matka straciła wpływ nad tobą i nawet... twoja... twoja opiekunka.

Erhard z wymuszoną stanowczością. Działam za głosem własnym, za głosem własnej woli.

Borkman zbliża się do Erharda. Więc może i moja godzina nareszcie wybiła.

Erhard z chłodną grzecznością. Co?... O co ojcu chodzi?

Pani Borkman drwiąco. Proszę... proszę... Ciekawieśmy...

Borkman nie daje się zbliżyć z tropa. Słuchaj, Erhardzie, — nie mógłbyś ty pójść ze mną? Życiem jednego nie można okupić życia drugiego, który padł w drodze.

To są rojenia, o których ci baili tu — wśród tego stęchłego powietrza. Gdybyś nawet wiódł żywot świętego — mniebyś tem małą wyświadczył przysługę.

Erhard j. w. Bardzo słuszne uwagi.

Borkman. Oczywiście... Nie mniej bezcelowem byłoby moje życie, gdybym je nadal wiódł wśród pokuty i pokory samoudręczenia — jak przez tych ośmiu lat. Ale przekonałem się, że to droga zwodna. Teraz chcę wybrnąć z tego bagna.

Erhard z lekkim uchyleniem głowy. I cóż zamierzasz... ojciec na przyszłość.

Borkman. Chcę się ocknać, chcę rozpocząć jeszcze raz od podstaw. Tylko teraźniejszością i przyszłością może człowiek odkupić przeszłość. Tylko pracą, pracą bez wytchnienia — nad tem, czem młodość przyświecała. Erhardzie, — staniesz u mego boku, by mi towarzyszyć w boju?

Pani Borkman ostrzega go ruchem ręki. Nie słuchaj go, Erhardzie!

Ella z uczuciem. Słuchaj go, Erhardzie! Bądź mu druhem!

Pani Borkman. Ty mu udzielasz tej rady — ty, w samotności konająca?!

Ella. Nie myślę o sobie!

Pani Borkman. Bo to nie chodzi o mnie!

Ella. Przyznaję!

Borkman. Zgadzasz się, Erhardzie?

Erhard pełen zakłopotania. Ojciec — nie mogę. To niepodobieństwo.

Borkman. Cóż ze sobą poczniesz?

Erhard rozpiomieniony. Jestem młody! Chcę raz rozpocząć życie — życie własne.

Ella. Nie chcesz kilku krótkich, błahych miesięcy poświęcić na to, by opromienić ostatnie dni biednej, stojącej nad grobem istoty?

Erhard. Nie mogę, ciociu, choćbym nawet chciał.

Ella. Erhardzie, tu chodzi o najprzyjaźniejszą ci istotę na ziemi.

Erhard. Ciociu, to niepodobieństwo.

Pani Borkman surowo. Czy i matce to samo odpowiesz?

Erhard. Nie przestanę cię nigdy kochać, matko. Ale życia ci poświęcić nie mogę. Bobby to nie było zyciem.

Borkman. Więc zespól się ze mną. Bo żyć to znaczy — pracować. Chodź! — pójdziemy ręką w rękę w krainę pracy i rozpoczniemy — żyć!

Erhard wzdygając się. Ależ ja nie chcę pracować! Młody jestem! Do dziś o tem nie wiedziałem. Dziś dopiero odczułem co to młodość — co to płomień młodości. Nie chcę pracy! Życia chcę! Życia!

Pani Borkman woła wiedzioną przeczcieniem. Dla czego chcesz życia, Erhardzie?!

Erhard z błyszczeniem oczyma. Dla szczęścia, mamó!

Pani Borkman. I gdzie go będziesz szukał, synu?

Erhard. Jużem je znalazł, mamó.

Pani Borkman krzyknęła. Erhardzie!...

Erhard zbliża się szybko do drzwi i otwiera je.

Erhard woła. Franiu, — możesz już wejść.

Pani Wilton, odziana w płaszcz, ukazuje się na progu.

Pani Borkman z wzniesionemi rękoma. To pani?!

Pani Wilton zmieszana, patrzy pytająco na Erharda. Więc już mogę?...

Erhard. Tak! O wszystkim już wiedzą.

Pani Wilton wchodzi do pokoju i kłania się Borkmanowi, który jej milcząco odpowiada. — Erhard zamyka za wchodzącą drzwi. —

Nastaje chwilowe milczenie.

Pani Wilton przyciszonym, lecz dobitnym głosem. Klamka tedy zapadła. Rozumiem też dobrze, że mię tu uważają za zwiastuna i sprawcę nieszczęścia.

Pani Borkman mówi powoli, przesywając ją wzrokiem. Zniszczyłaś pani resztki tego, co mię z życiem jeszcze łączyło. Rozpaczałiwie. Ale to jest niepodobieństwo!

Pani Wilton. Nie dziwię się, że się to pani wydaje niepodobieństwem.

Pani Borkman. Przyzna pani sama, że tak jest. Czy też?...

Pani Wilton. Powiedziałabym raczej, że to szła — ale to rzecz spełniona.

Pani Borkman zwraca się do Erharda. Czy to prawda, szczerza prawda, Erhardzie?

Erhard. To szczęście moje, mam! To jedyne, wielkie, promienne moje szczęście. Nie powiem więcej.

Pani Borkman do pani Wilton, załamując ręce. Jak pani z nim niegodziwie postąpiła! Jak go pani niegodziwie uwikłała w swoje sieci!

Pani Wilton podnosi dumnie głowę do góry. Myli się pani.

Pani Borkman. Mylę się?!

Pani Wilton. Tak. Nie rzuciłam nań sieci, ani siideł. Głos serca przywiódł go do mnie, i ja idąc za tym głosem spotkałam go wśród drogi.

Pani Borkman mierzy ją pogardliwym spojrzeniem. Że pani — to jasne.

Pani Wilton siłując się na spokój. Moja pani, — życiem ludzkim władają moce, o których zdajesz się nie dużo wiedzieć.

Pani Borkman. Cóż to za moce, jeśli wolno pytać?

Pani Wilton. Moce, które spajają byty dwojga ludzi nierozdzielnie i bezwzględnie.

Pani Borkman uśmiecha się. Zdaje mi się, że pani już była spojona z kim innym.

Pani Wilton krótko. Ten mię porzucił.

Pani Borkman. Ale on jeszcze żyje.

Pani Wilton. Dla mnie nie żyje.

Erhard niecierpliwie. Tak, dla nas nie żyje. A zresztą co mnie on obchodzi?!

Pani Borkman kareje go spojrzeniem. Znasz tedy — tę historię z tym drugim.

Erhard. Znam ją od początku do końca.

Pani Borkman. I mimo to twierdzisz, że cię nie nie obchodzi!

Erhard stanowczym, bezwzględny głosem. Obchodzi mnie tylko jedno: chcę być szczęśliwym! Młody jestem i łaknę życia!

Pani Borkman. Jesteś młodym, Erhardzie, zbyt młodym do tego życia.

Pani Wilton poważnie i z naciskiem. Mówiłam mu to samo — zapewniam panią. Przedstawiłam mu dokładnie całe położenie. Podkreślałam niejednokrotnie, że o siedm lat starsza od niego.

Erhard przerywa jej. Ależ, moja droga, o tem wiedziałam od dawna.

Pani Wilton. ...I wywody moje pozostały bez skutku.

Pani Borkman. Tak? Doprawdy? Dlaczegoż mu pani nie dała odprawy? Nie wymówiła mu domu? Od tego należało zacząć.

Pani Wilton zwraca na nią spojrzenie i mówi nieco ciszej. Bo — rzecz prosta — nie mogłam.

Pani Borkman. Dlaczego pani nie mogła?

Pani Wilton. W nim zawarło się moje szczęście, moje sny o szczęściu.

Pani Borkman z lekceważeniem. Hm... sny... o szczęściu.

Pani Wilton. Nie rozumiałam dotąd, co to znaczy: być szczęśliwą w życiu. A szczęścia nie odepchnę, choćby dlatego, że mi tak późno wschodzi.

Pani Borkman. Jak długo, sądzi pani, potrwa to szczęście?

Erhard przerywając jej. Krócej czy dłużej, mam, to jedno!

Pani Borkman z wybuchem złości. Ślepy człowiecze! Nie widzisz, do czego cię to zawiedzie?!

Erhard. Nie myśl o przyszłości. Nie patrzę ani przed siebie ani poza siebie! Chcę tylko zakosztować raz wreszcie życia!

Pani Borkman boleśnie. I to nazywasz życiem, Erhardzie!

Erhard. Tak!! Czy nie widzisz, jak jest czarująca!
Pani Borkman załamuje ręce. Jeszcze jedna hanba na mojem biednem czole!

Borkman w tyle sceny, pastwiąc się nad nią. Tyś już do tego przywykła.

Ella błagalnym głosem. Janie!...

Erhard tak samo. Ojczu!...

Pani Borkman. Bezustannie będę musiała patrzeć, jak mój rodzony syn razem z jakąś...

Erhard przerywa gniewnie. Na nic patrzeć nie będziesz, mammo! Nie lękaj się! Nie zostaje tu dłużej!

Pani Wilton przedko i bez namysłu. Odjeżdżamy, łaska wa pani.

Pani Borkman błędnie. Pani także? Oboje razem?!

Pani Wilton potakuje. Jadę na południe w towarzystwie pewnej młodej panienki, a Erhard z nami.

Pani Borkman. Z panią i — z młodą panienką?

Pani Wilton. Tak, ze mną i z małą Frydą Foldal, którą wzięłam do siebie. Zabieram ją w świat, by ją kształcić w muzyce.

Pani Borkman. I bierze ją pani ze sobą?

Pani Wilton. Nie mogę przecie takiego podlotka samego posyłać.

Pani Borkman uśmiecha się nieznacznie. I cóż ty na to, Erhardzie?

Erhard lekko zakłopotany, wzrusza ramionami. Skoro sobie tego życzy...

Pani Borkman zimno. Kiedyż państwo wybieracie się w drogę?

Pani Wilton. Jedziemy zaraz — w nocy. Moje sanie czekają na dole, przed mieszkaniem Hinklów.

Pani Borkman mierzy ją wzrokiem. Więc to była zabawa u Hinklów!

Pani Wilton uśmiecha się. Byliśmy tylko we troje: Erhard, ja, no i mała Fryda.

Pani Borkman. Gdzieżeście ją zostawili?

Pani Wilton. Czeką na dole w saniach.

Erhard zakłopotany. Widzisz... mammo... chciałem ci tego całego zajścia zaoszczędzić... zarówno tobie jak innym.

Pani Borkman dotknięta do żywego. Chciałeś odjechać, nie żegnając się ze mną?

Erhard. Uważałem to za stosowniejsze i — dogodniejsze dla stron obu. Wszystko było gotowe do drogi, kufrы spakowane. Ale że po mnie posłałaś... Wyciąga do niej ręce. Żegnaj, matko.

Pani Borkman robi ruch przeczący. Nie zbliżaj się do mnie.

Erhard waha się. To ostatnie twoje słowo, mammo?

Pani Borkman twarzą. Tak.

Erhard zwraca się do Elli. Bywaj zdrowa, ciociu.

Ella ściska jego ręce. Jedź zdrow, chłopcze! Używaj życia i szczęścia! Niech ci służy szczęście, jak sam pragniesz.

Erhard. Dziękuję, ciociu. Kłania się Borkmanowi. Żegnaj, ojczu! Szeptem do pani Wilton. Chodźmy — im prędzej, tem lepiej.

Pani Wilton cicho. Idziemy...

Pani Borkman złośliwie się uśmiechając. Przypuszcza pani zapewne, że to bardzo rozsądnie, skoro pani zabiera ze sobą tę młodą dziewczynę?

Pani Wilton uśmiecha się również, na pół poważnie, na pół ironicznie. Mężczyźni są bardzo niestali, kobiety również. Gdy Erhard się mną nasyci — i ja nim — wówczas dla obu stron będzie lepiej, gdy biedny chłopak będzie miał coś w odwodzie.

Pani Borkman. A pani?

Pani Wilton. Ach, ja nie przepadnę — bądź pani spokojną. Moje uszanowanie państwu!

Kłania się i wychodzi. Erhard stoi chwilę, jakby się wahając. Po chwili jednak odwraca się i idzie za nią.

Pani Borkman załamuje opuszczone ręce. Bezdzienna!

Borkman dojrzało w nim jakieś postanowienie. Naprzód! Sam pójdę w bój! Mój płaszcz i kapelusz! Idzie pośpiesznie do drzwi.

Elia zaniepokojone zachodzi mu drogę. Janie, dokąd śpieszysz?

Borkman. W bój życia! Puszczaj mnie!

Ella zatrzymuje go. Nie, nie pójdziesz. Tyś chory. Poznaję...

Borkman. Puszczaj mię, powiadam. Wrywa się i wychodzi do przedpokoju.

Ella we drzwiach. Pomóż mi go zatrzymać, Gunhildo!

Pani Borkman stojąc na środku pokoju, mówi głosem zimnym, nieugiętym. Nie zatrzymuję nikogo — bez względu na to kim jest. Mogą mię wszyscy odejść, jeden za drugim. Niech idą, jak daleko tylko chcą. Nagle wybucha okropnym krzykiem. Erhardzie, zostań przy mnie! RzUCA się z wyciągniętymi rękoma ku drzwiom. Ella śpieszy za nią

AKT IV.

Wolna przestrzeń na folwarku Renthelmów. Po prawej stronie dom mieszkalny. Widna jedna jego część z tarasem, na który wiodą schody niskie, kamienne. Dalej w ziębi ciągną się długie rzędy topolowych drzew. Na lewo rozrzucone małe grupki rozmaitych krzaków. — Zawieja śnieżna uśłada, a świeży śnieg pokrył lśniąca powłoka ziemię. Gałęzie topolowe, również w biel przybrane, chwieją się pod ciężarem śniegu. — Ciemna noc. Po niebie wloką się leniwie chmury, odsłaniając niekiedy tarczę księżyca. Błyszcząca powierzchnia śniegu rzuca tylko migotliwy odbłask.

Borkman, pani Borkman i Ella Renthelm stoją na dworze, na schodach. Borkman znużony i wyczerpany opiera się o mur. Na plecach ma narzucony płaszcz starej daty, w jednej ręce popielatą, pilśniową kapelusz, w drugiej grubą, guzowatą kij. Ella nosi swój płaszcz futrzany, pani Borkman wielką chustkę na ramionach, tak że ma głowę odkrytą.

Ella zastępuje drogę pani Borkman. Nie puszczaj się za nim w pogoń, Gunhildo!

Pani Borkman z chorobliwym uporem. Puszczaj mię! On nie może mię porzucić.

Ella. To zupełnie bezcelowe, nie dopędzisz go przecież.

Pani Borkman. Spróbuję przynajmniej. Będę wołała za nim wzdłuż całej drogi. A wołania swej matki musi usłyszeć!

Ella. Nie może cię usłyszeć. Siedzi już z pewnością w saniach...

Pani Borkman. Nie — nie — nie siedzi jeszcze w saniach!

Ella. Siedzi — z całą pewnością.

Pani Borkman w rozpacz. Jeśli siedzi w saniach, to siedzi z pewnością z nią, z nią!

Borkman ponuro się uśmiecha. Wówczas z pewnością twego wołania nie usłyszy.

Pani Borkman. Nie, nie usłyszy. Nastuchuje. Cicho! Co to?

Ella również nastuchuje. To jakby odgłos dzwonek przy saniach.

Pani Borkman przytłumionym głosem. To jej sanie!

Ella. Mogą być czyjekolwiek...

Pani Borkman. Nie! To jej sanie. Poznaję po dzwonkach. Uważajcie! Zaraz nas miną, tuż obok góry!

Dzwonki rozbrzmiewają bardzo blisko w lesie.

Ella. Prędzej, Gunhildo! Są tuż obok nas!

Pani Borkman waha się chwilę, odzyskuje jednak wnet swój kamienny spokój. Nie chcę! Nie będę za nim wołała. Erhard Borkman może mię mając w drodze — w drodze ku temu, co teraz zwie szczęściem i życiem.

Echo dzwonek ginie w dali.

Ella po chwilowej przerwie. Już nie słyszę dzwonicia.

Pani Borkman. Brzmiało mi jak dzwonicie grobowe.

Borkman sucho, nieświeźsze się śmieje. Mnie one jeszcze nie dzwonią na wieczne odpoczywanie!

Pani Borkman. Natomiast mnie i temu, co mię opuszcil.

Ella zamyślona potrząsa głową. Kto wie, czy mu właśnie nie zapowiadają szczęścia i życia.

Pani Borkman porywa się, do głębi dotknięta. Szczęścia i życia — powiadasz?!

Ella. Przynajmniej na chwil kilka.

Pani Borkman. Życzysz mu szczęścia i życia — u jej boku?

Ella ciepło i serdecznie. Tak! Z całego serca i z całej duszy mu życzę!

Pani Borkman chłodno. Natenczas większy masz zasób miłości, aniżeli ja.

Ella zapatrzona w dal, zdaje się mówić z głębi duszy. To może raczej brak tej miłości wzmacnia jej napięcie.

Pani Borkman patrzy na nią. Jeśli tak — to i ja może niezadługo się wzbogacę w tę miłość. Odwraca się i wchodzi do domu.

Ella wpatruje się chwilę w Borkmana współczując; potem z troskliwością kładzie mu rękę na ramieniu. Janie, teraz i my wracamy do pokoju.

Borkman jakby zbudzony ze snu. Ja?

Ella. Tak. To zbyt ostre dla ciebie powietrze, poznaję to. Wracamy do pokoju, tam ciepłej.

Borkman wzdyga się. Może tam na górze?

Ella. Nie, chodźmy do jej pokoju.

Borkman żywo protestując. Póki żyw będę, nie dotknę stopą tych progów.

Ella. Dokądże pójdziesz? W tak późną noc?

Borkman ubiera kapelusz. Przedewszystkiem zagładnę do mych zakopanych skarbów.

Ella patrzy nań zalekła. Janie, nie rozumię cię!

Borkman śmieje się wśród kaszlu. Nie sądź, że to kradzione! Nie lekaj się, Ello! Urywa i pokazuje przed siebie. Popatrzno! Cóż to jest?

Wilhelm Foldal zjawia się w promieniu kilkunastu metrów. Jest odziany w stary, śniegiem okryty płaszcz, w kapelusz ze zmiętymi brzegami, a w rękę dźwiga szeroki parasol. Kroczy z trudem po śniegu, kulejąc na lewą nogę.

Borkman. Wilhelm! Po coś tu znowu się przywlokł?

Foldal nadechodzi bliżej i podnosi głowę. To ty? Stoisz tu na schodach, Janie Gabryelu? Kłania się. A to twoja żona.

Borkman krótko. To nie moja żona.

Foldal. Przepraszam. Zgubiłem okulary w śniegu, więc mi trudno... Ze też ty przekroczyłeś próg swego pokoju?..

Borkman wesołym, zachwytym tonem. Najwyższy chyba czas, bym oko przyzwyczaił do przestrzeni, a pierś do swobodnego oddechu. Trzy lata przesiedziałem w więzieniu śledczym, pięć lat odbywałem karę pod kluczem, a ośm tam na górze...

Ella dręczona niepokojem. Janie, błagam cię...

Foldal. Tak, tak, to prawda...

Borkman. Ale po coś tu wrócił — pytam.

Foldal stoi jeszcze wciąż na dole przed schodami. Chciałem pójść do ciebie na górę, Janie Gabryelu. Musiałem do ciebie wracać.

Borkman. Mimo, że ci drzwi pokazał?

Foldal. Mój Boże, to przecie drobnostka.

Borkman. Co się stało z twoją nogą? Kulejesz...

Foldal. Wyobraź sobie: przejechali mi ją.

Ella. Przejechali?!

Foldal. Tak, jakieś sanie...

Borkman. Oho!

Foldal. ...Zaprzężone w parę koni. Nadleciały pędem tuż obok góry, tak że nie mogłem się cofnąć...

Ella. I przejechały pana?

Foldal. Wjechały wprost na mnie, łaskawa pani, czy panienko, obały mi na ziemię, przez co zgubiłem okulary, połamałem parasol i... trze sobie kolano... nadwodziłem sobie nieco kolano.

Borkman śmieje się do siebie. Wiesz, kto był w tych saniach?

Foldal. Nie, skąd mógłbym wiedzieć? Sanie były przecie zamknięte i miały spuszczone franki. Woznica chwilę się zatrzymał, ale wnet pomknął dalej... leżałem jeszcze w śniegu... Zresztą to przecie obojętne... Podrażniony. Jest mi jakoś dziś tak dziwnie wesoło na sercu.

Borkman. Wesoło?

Foldal. Bo inaczej tego nazwać nie umiem. Wesoło — to będzie najwłaściwsze określenie. Bo spotkało mnie dziś coś niezwykłego! I nie mogłem się powstrzymać... musiałem się z tobą podzielić radością wieścią, Janie Gabryelu.

Borkman niecierpliwie. Dzielić się nią!

Ella. Ale wpierr wróćcie do pokoju.

Borkman ostro. Nie wróć do pokoju — powtarzam.

Ella. Słyszysz przecie, że go przejechali.

Borkman. Każdego z nas przejeżdżają — choć raz w życiu. A potem musi się wstawać i udawać, że nic nas nie spotkało.

Foldal. To bardzo mądre zdanie. Ja mogę przecie swoje równie dobrze opowiedzieć tu, na dworze — krótko i zwięźle.

Borkman tagodniej. Słucham...

Foldal. Uważaj więc! Gdy wrócił od ciebie do domu, znajduję niespodziany list — zgadnijno od kogo?

Borkman. Czy nie od małej Frydy?

Foldal. Tak! Jaki ty jesteś domyslny! Był to długi, dość długi list od Frydy. Przyniósł go jakiś służący. I wiesz, co w nim pisała?

Borkman. Może żegna rodziców...

Foldal. Jakbyś go czytał! Jakiś ty bystry, Janie Gabryelu! Donosi mi w liście, że pani Wilton wielce ją polubiła, i że zabiera ją ze sobą za granicę, by ją kształcić w muzyce. Towarzyszy im także zdolny nauczyciel dla Frydy, bo — Bóg mi świadkiem — że jej wychowanie ma niejedne braki.

Borkman trzęsie się od wewnętrznego śmiechu. Oczywiście, oczywiście... Rozumiem doskonale, Wilhelmie!

Foldal ciągle dalej z zapałem. I pomyśl tylko — o tej podróży zawiadomiono ją dopiero dziś — wieczorem, tam u tych państwa. Mimo spóźnionej pory zasiadła jeszcze do pisania listu — a jak ciepło, serdecznie i ładnie napisała! Ani śladu tam lekcewa-

żenia lub wzgardy dla ojca. I jeszcze jeden rys szlachetny: nie chciała odejść, nie przysławszy pozdrowienia rodzicom. Śmieje się. Ale z tego oczywiście nic nie będzie!

Borkman patrzy nań pytająco. Jak to?

Foldal. Donosi mi, że jadą jutro rano. O świcie.

Borkman. Patrzajcie... jutro? Tak pisze?

Foldal radośnie zaciera ręce. Ale znalazłem na to sposob... Od czegoż rozum? Idę niezwłocznie do pani Wilton...

Borkman. Teraz, w nocy?

Foldal. Mój Boże, — nie jest przecie jeszcze tak bardzo późno. A gdyby brama była zamknięta, to zadzwonię... bez namysłu. Bo ja chcę i muszę ujrzeć jeszcze raz przed odjazdem moją Frydkę. Dobranoc! Dobranoc państwu! Gotuje się do odejścia.

Borkman. Słuchajno, biedaku, — możesz sobie tego kawała mozolnej drogi zaoszczędzić.

Foldal. Przez wzgląd na nogę?...

Borkman. Tak. A przytem nie dostaniesz się do pani Wilton.

Foldal. Dostanę się — nie ulega wątpliwości. Będę tak długo dzwonił, póki ktoś mi nie otworzy.

Ella. Córka pana już wyjechała, panie Foldal.

Foldal stoi jakby rażony piorunem. Już wyjechała!! Wie pani z pewnością? Kto to pani powiedział?

Borkman. Powiedział nam jej przyszły nauczyciel.

Foldal. Tak? Cóż to za jeden?

Borkman. Niejaki Erhard Borkman, student uniwersytetu.

Foldal promieniuje radością. Twój syn, Janie Gabryelu! Jedź z niemi?

Borkman. A tak... będzie wraz z panią Wilton chował swoją Frydkę.

Foldal. Chwała Bogu! Dziecko dostało się w najlepsze ręce! Ale, czy to pewne, że już pojechali?

Borkman. Siedzieli w saniach, które ciebie przejechały.

Foldal klasnąwszy w ręce. Jezus Marya! — moja mała umknęła w tak wspaniałym pojeździe?!

Borkman potakuje. Tak, tak, Wilhelmie, miękko jej tam będzie — i panu Erhardowi także... A słyszałeś srebrne dzwonki?

Foldal. Oczywiście... Srebrne, powiadasz? Czy były srebrne? Prawdziwe srebrne?

Borkman. Nie inaczej... Wszystko było prawdziwe — zewnątrz i wewnątrz.

Foldal wzruszony. To doprawdy przedziwne, jakie człowiek niekiedy miewa szczęście. Ta moja, na przykład, odrobina talentu poetyckiego obróciła się u Frydy w zdolność do muzyki. Nie darmo byłem poetą. Teraz ona polecała w szeroki, daleki świat, dokąd ja się dawniej wyrwałem na skrzydłach tęsknoty. W zamkniętych saniach pomknęła moja Frydka w świat, przy dźwięku srebrnych dzwonek...

Borkman. ...I przejechała po ciele swego ojca...

Foldal wesoło. Ach, głupstwo! To nie szkodzi, byle dziecko... Przyszedłem więc za późno. Czas do domu... Pocięsz matkę, która tam w kuchni łzami się zalewa.

Borkman. Płacze?

Foldal uśmiechnięty. Tak... Wyobraź sobie — zachodziła się od placu, gdy wychodził z domu.

Borkman. A ty się śmiejesz?

Foldal. Oczywiście... Ta dobra dusza w ten sposób daje upust swym uczuciom. No, do widzenia, do widzenia. Jak to dobrze, że w pobliżu mamy kolej konną... Dobranoc, Janie Gabryelu! Moje uszanowanie panience! Kłania się i wraca, kulejąc, tą samą drogą, którą przyszedł.

Borkman stoi chwilę bez ruchu, potem patrzy za odchodzącym. Do widzenia, Wilhelmie! Nie pierwszy to raz w życiu przejechano po tobie, stary druhu!

Elia patrzy nań strwożona. Tyś taki błady, Janie.

Borkman. To z tego kaziennego powietrza na górce.

Elia. Nie widziałam cię jeszcze nigdy takim.

Borkman. Bo nie widziałas jeszcze nigdy zbiegłego skazańca.

Elia. Wracajże do pokoju, Janie!

Borkman. Zaprzestań swego syreniego wołania. Powiedziałem ci raz...

Elia. Proszę cię tak serdecznie... Zrób to ze względu na swe zdrowie...

Służąca zjawia się na schodach.

Służąca. Przepraszam — pani poleciła mi zamknąć bramę.

Borkman cicho do Elii. Słyszysz — chcą mię znowu zamknąć!

Elia do służącej. Pan dyrektor czuje się cokolwiek niedobrze. Dlatego zostanie jeszcze trochę na powietrzu.

Służąca. Ale pani poleciła mi wyraźnie...

Elia. Zamknę sama bramę. Proszę tylko zostawić klucz w zamku...

Służąca. Jak pani uważa... Wraca do domu.

Borkman nasłuchuje chwilę, potem schodzi pośpiesznie na dziedziniec. Jestem wreszcie za bramą, Ello! Już mię nie dostaną w swoje kleszcze!

Elia obok niego na dole. Przecież i w domu jesteś wolnym, Janie. Możesz iść i wracać — jak ci się żywnie podoba.

Borkman cicho, jakby przejęty strachem. Do domu wracać? Nigdy! Tu mi dobrze — na dworze, wśród nocy! Gdybym tylko stanął na progu, zapadłyby się ściany i powała. Przygniotłyby mię jak muchę...

Elia. Dokąd chcesz iść?

Borkman. W dal! W nieogarniętą dal! Przekonam się, czym już dorósł do godności człowieka wolnego — do boju życia! Pójdiesz ze mną, Ello?

Elia. Ja? Teraz?

Borkman. Tak! Bez zwłoki!

Ella. Dokądże?

Borkman. W dal!

Ella. Bóże się Boga — w zimną, wilgotną noc zimową...

Borkman cedząc. Oho! Panienka lęka się o zdrowie? To bardzo rozsądnie.

Ella. Lękam się o twoje zdrowie.

Borkman. Ha-ha-ha! O zdrowie trupa! To doprawdy arcyśmieszne, Ello! Idzie dalej.

Ella tuż za nim, przytrzymując go. Czem się nazwałeś?

Borkman. Trupem! Zapomniałaś, jak mi Gunhilda nakazała spokój — w legowisku.

Ella z nagłym postanowieniem owija się w płaszcz. Idę z tobą, Janie!

Borkman. Dobrze, Ello, pójdziemy wreszcie razem. Idzie naprzód. Chodźże!

Przechodzą powoli na lewo ku owym niskim krzakom i coraz bardziej nękają z przed oczu widza, aż w końcu zupełnie ich nie widać. Dom i otoczenie znikają z widnokręgu. Krajobraz zmienia się powoli lecz bezustannie i przybiera coraz dziksz charakter.¹⁾

Głos Elli z lasu na lewo. Gdzie jesteśmy, Janie? Nie znam wcale tej drogi.

Głos Borkmana nieco dalej. Trzymaj się tylko moich śladów.

Głos Elli. Po cóż idziemy tak wysoko w górę?

Głos Borkmana. Musimy przebyć tę krętą ścieżkę.

Głos Elli. Odchodzą mnie już siły.

Borkman na zgrbie lasu, na prawo. Chodź, chodź! Zaraz odśloni nam się widok na okolicę. Tu stała dawniej ławka...

Ella ukazuje się wśród drzew. Pamiętasz jeszcze?

Borkman. Możemy odpocząć.

Stanęli na wazkiej, wysoko położonej polanie lasu. Za nimi skalisty wąwóz. Na lewo, głęboko w dolinie rozległy krajobraz z fiordem i potężnymi grzbietami gór w oddali. Na polanie sterczy obumarta sosna; przed nią stoi ławka. Polana okryta śniegiem, po którym oboje brodzą z trudem.

Borkman staje obok wąwozu. Chodź tu, Ello, zobaczysz coś.

Ella staje obok niego. Co tam widzisz?

Borkman pokazuje przed siebie. Patrzaj, co za przestrzeń — wolna i otwarta, aż w bezkres.

Ella. Na tej ławce siadywaliśmy dawniej często — wpatrzni w rozleglejsze, znacznie rozleglejsze przestrzenie.

Borkman. W krainę snów i marzeń zapuszczaliśmy wówczas wzrok.

Ella potakuje ze smutkiem. W krainę snów naszego życia... A teraz krainę przysypał nam śnieg. — A to stare drzewo skostniało.

Borkman idąc za wątkiem własnych myśli. Widzisz tam przy fiordzie kominy okrętowe i kłęby dymu, co się z nich dobywają?

Ella. Nie.

Borkman. Ja je widzę. — Okręty przybijają i odbijają, bratając życie na kuli ziemskiej. Sieją światło i ciepło dusz tysiącom. O takim dziele marzyłem kiedyś sam.

Ella ze smutkiem. I skończyło się na marzeniu.

Borkman. Tak — skończyło się na marzeniu. Zastuchany. Słuchaj! — jak tam wre i kipi nad rzeką! Fabryki są w ruchu! Moje fabryki — te, które stworzyć chciałem. Słuchaj, jak w nich gwarno! Pracują noc i dzień. Słuchaj, słuchaj. Turkoczą koła, a walce się toczą wokoło, wokoło — bez tchu! Nie słyszysz, Ello?

Ella. Nie.

Borkman. Ja słyszę.

Ella zaniepokojona. Zdaje mi się, że się łudzisz, Janie.

¹⁾ Na wzór ruchomej sceny w Bayreuth i teatru szekspirowskiego w Monachium, Ibsen wprowadza w tem miejscu nowy środek techniczny: Widz towarzyszy wzrokiem osobom dramatu w ich drodze i wraz z nimi ogląda coraz inny krajobraz. — (Przyp. tłum.)

Borkman zapala się coraz bardziej. Ale to wszystko: te okręty i fabryki to tylko straż nadgraniczna — na kresach mego państwa!

Ella Państwa? O jakim państwie mówisz?

Borkman. O mojem państwie! O państwie, którego o włos nie posiadam wówczas, gdy — gdy umarłem.

Ella wstrząśnięta jego słowami. Ach, Janie, Janie!

Borkman. I oto leży teraz bez pana, bez straży, wydane na łup napadów i grabieży bandytów... Wiesz tam te łańcuchy gór — w mrocznej dali? Piętrzą się jedna nad drugą, rwąc się ku niebu. Tam spoczęło moje niezmierzone, bezkresne, niedoścignione królestwo!

Ella. Ach, jak lodowaty stamtąd idzie powiew, Janie!

Borkman. Dłannie ten powiew jest powiewem życia. Ten powiew nosi mi pokłon moich poddanych. Wietrzę te ukryte skarby; czuję, jak rudy wyciągają po mnie węzowe, jadowite, zwodnicze macki. Wiedziałem je jako w ciału przyoblekle cienie — ukazały mi się onej nocy, gdy w latarką w rękę stanął w sklepieniu banku. Miałem was wówczas wyzwoić! Lecz próba się nie powiodła. Skarby zapadły się znowu w głąb bezdenną, z wyciągniętymi ramionami. Ale wyznam wam to wśród bezcelestnej ciszy nocy: kocham was, was, coście pozorną posnęły śmiercią. Kocham was, co w swem wnętrzu oceany życia taicie — co macie w swym orszaku moc władną i blask przepychu. Kocham was — kocham — kocham —

Ella z rosnącym wzburzeniem, które bez skutku usiłuje poskromić. Tak, tam ugrzęzła twoja miłość, Janie! Tam ugrzęzła na wieki. A tu, na górze, w świetle słońca i dnia — biło i rwało się ku tobie ciepłe, żywe serce kobiety! A tyś to serce zgniótł. Nie — jeszcze gorzej! Sto-kroć gorzej z niem postąpiłeś — tyś je sprzedał z!... za...

Borkman drży. Za to państwo — za tę moc — i przepychu blaski — to chciałeś powiedzieć?

Ella. To! Mówiłam ci już dziś to raz. Zabiłeś miłość w kobiecie, która cię kochała i której miłość odwzajemniała — o ile ty kochać umiesz. Z podniesioną ręką. I dlatego ci zapowiadałam — Janie Gabryelu Borkmanie — nigdy nie uzyskasz zapłaty, jaką za zabójstwo nałożyłeś. Nigdy nie wejdiesz jako zwycięzca do swego mroźnego, ponurego królestwa.

Borkman ślania się ku ławce i pada na nią, ciężko oddychając. Lękam się, by się twoje proroctwo nie sprawdziło, Ello.

Ella zbliża się do niego. Nie mów o lęku, Janie. Ciebie nic lepszego spotkać nie może.

Borkman z krzykiem chwytą się za pierś. Ach!... Głosem osłabionym. Puściła mię!

Ella potrząsa nim. Co ci jest, Janie?!

Borkman opiera się o poręcz. Ręka jakaś z lodu chwyciła mię za serce.

Ella. Janie, czułeś rękę z lodu?!

Borkman pomrukuje. Nie... Nie z lodu... To była ręka z metalu. Opada całkiem na ławkę.

Ella nakrywa go płaszczem, który ze siebie zdarta. Leż spokojnie! Przywołam ich na pomoc. Idzie parę kroków na-przód, potem staje i wraca ku Borkmanowi i bada jego puls i twarz. Nie... Cicho i z mocą. Lepiej tak, Janie... Lepiej dla ciebie. Owija go lepiej w płaszcz i siada przed ławką w śniegu.

Krótką przerwą. — Pani Borkman, ubrana w płaszcz ukazuje się wśród drzew — na prawo. Przed nią idzie służąca z latarnią w rękę.

Służąca patrząc na ziemię. Jest, jest, proszę jasnej pani. Są tu ślady...

Pani Borkman wpatruje się w śnieg. Są, są! Siedzą na ławce. Woła. Ello!

Ella wstaje. Szukasz nas?

Pani Borkman twardo. Muszę...

Ella wskazując na Borkmana. Patrzaj, tu leży Jan, Gunbiido!

Pani Borkman. Usnął?

Ella potakuje. Usnął — snem głębokim i długim.

Pani Borkman przerażona. Ello! Opanowuje się i pyta przytłumionym głosem. Czy... skończył dobrowolnie?

Ella. Nie.

Pani Borkman z ulgą. Więc nie z własnej ręki?

Ella. Nie. — To lodowa ręka z żelaza chwyciła go za pierś.

Pani Borkman do służącej. Zawołaj ludzi. Zbudź służbę.

Służąca. Idę... Cicho. Chryste Panie... Odechodzi lasem na prawo.

Pani Borkman stoi obok ławki. Zabiło go powietrze nocy...

Ella. Widocznie.

Pani Borkman. Tego siłacza!

Ella zbliża się do ławki. Chcesz mu się może przypa-
trzeć, Gunhildo?

Pani Borkman wzdrygając się. Nie, nie — zniża głos.
Był synem górnik — pan dyrektor banku. Nie zniósł
świeżego powietrza.

Ella. To chłód nocy raczej go dobił.

Pani Borkman potrząsa głową. Chłód nocy — powiadasz?

Mógł się dawno z nim oswoić...

Ella potakuje. Ten sam chłód, co nas obie w cieniu
zamienił...

Pani Borkman. Masz słuszność.

Ella boleśnie uśmiechnięta. Jeden trup i dwa cienie —
oto skutek tego chłodu.

Pani Borkman. Tak, chłodu — serca. — Teraz mo-
żemy sobie już podać ręce do zgody, Ello.

Ella. Sądę, że możemy.

Pani Borkman. My siostry — bliźnięta — nad tru-
per tego, którego obie kochałyśmy.

Ella. My dwa cienie — nad trupem kochanka.

Pani Borkman. stojąca za ławką. **Ella,** stojąca przed ławką podają
sobie ręce.



Niema człowieka, któryby wśród setek
jej tomików nie znalazł rzeczy pożądaných
i zajmujących.

Biblioteka Powszechna już w trzecim
roku swego istnienia odznaczoną została
medalem wielkiej wystawy krajowej we
Lwowie, a w bardzo licznych głosach prasy
odzywało się żywe uznanie dla jej zasług
około szerzenia oświaty.

Inne wydawnictwo tejże firmy Księgar-
skiej W. ZUKERKANDLA w ZŁOCZOWIE ma
na oku nasze pokolenie dorastające. Jest to

BIBLIOTECZKA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

zawierająca książeczki zajmujące, zabawne
i pouczające. Każdy tomik w skromnej ale
gustownej oprawie, stanowi odrębną całość
i jest osobno do nabycia.

Taż firma Księgarska W. ZUKE-
DEL w ZŁOCZOWIE wydaje pod

BIBLIOTEKA KLASYKÓW RZYMSKICH i
preparacje do lektury autorów staro-
w gimnazjach.

Każdy zeszyt osobno do nabycia.

105858

Najtańsze polskie wydawnictwo:

BIBLIOTEKA POWSZECHNA

ZUKERKANDLA.

Dotychczas wyszło

1136 numerów.



Każde dzieło

osobno do nabycia.

Na składzie w księgarniach.
SZCZEGÓŁOWE KATALOGI NA ŻĄDANIE DARMO I OPLATNIE.

LUTY 1928.

NAJNOWSZE TOMIKI:

1106-1108. Brückner A.
Adam Mickiewicz, ży-
wot i dzieła.

1109-1111. Brückner A.
Juljusz Słowacki, ży-
wot i dzieła.

1112-1114. Brückner A.
Munt Kasiński,
wot i dzieła.

1117. Kraszewski J. I.
oż do miastecz-
wieć (z dodatkiem
omniejszych.)

O. Morgenbesser A.
ona Sokołowa.
w bohaterski.

Morgenbesser A.
alestra czyli wojna
prawników. Poemat żar-
tobliwy w 7 pieśniach.

1122. Morgenbesser A. My-
ślący burmistrz. Poemat
żartobliwy w 7 pieśniach.

1123-1124. Słowacki Juljusz,
Fantazy. (Niepoprawni.)
Dramat w 5 aktach.

1125-1128. Brückner A.
Dzieje literatury pol-
skiej.

1129-1130. Brodziński K.
Mowa o narodowości
Polaków i Pośłanie
do braci wygnańców.

1131-1135. Kraszewski J. I.
Jermoła.

1136. Cuszczyński Seweryn,
Oda Powieść tatrzańska.

Dalsze tomiki w druku.